

H HARLEQUIN[®]
TM

MEDICAL

Leah
Martyn
Zacząć od początku



Leah Martyn

Zacząć od początku

Tłumaczenie:

Anna Sawisz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doktor Jack Cassidy, chirurg traumatolog, z zamiłowania podróżnik niestroniący też od przygód miłosnych, stał przy wyjściu z samolotu, napawając się nieśpiesznie bogactwem barw australijskiej głuszy. Tu nie było miejsca dla typowo angielskiej eleganckiej powściągliwości. Kolory dosłownie biły po oczach.

Zauważył grupkę kangurów pasących się na pobliskim wybiegu i poczuł się tym widokiem prawdziwie uszczęśliwiony. Boże, jak dobrze znów być w domu. Nareszcie udało mu się wyrwać z toksycznego związku. Poczuł się wolny po raz pierwszy od miesiący. Jak na skrzydłach pobiegł po swój bagaż.

Szpital był niedaleko. Z telefonicznej rozmowy, w trakcie której przyjmowano go do pracy, wynikało, że dotychczas załoga lekarska szpitala w Sunday Creek ograniczała się do jednej osoby, doktor Darcie Drummond. Na tym jego wiedza o tej osobie się kończyła. Miał tylko nadzieję, że doktor Drummond nie będzie się wikłać w spory kompetencyjne. Jeśli zaś wyznaczyła mu rolę biurokratycznego zarządcy, będzie musiała zmienić zdanie.

Bo Jack Cassidy miał zamiar być tu szefem pełną gębą i czynnie włączyć się w praktykę medyczną.

Darcie spojrzała na zegarek. Pora iść do domu. Gdy zajdzie potrzeba, szpital na pewno ją wezwie. Podniosła się zza biurka i podeszła do okna. Niebo po zachodniej stronie było zachmurzone. Swoją szary kolor zawdzięczało dymom z wybuchających tu i ówdzie pożarów buszu. Miejscowi zapewniali, że to nic groźnego. Straż pożarna kontroluje te sporadyczne pożogi. Cóż, trzeba mieć nadzieję...

Ktoś zapukał w otwarte drzwi. Darcie odwróciła się gwałtownie i ujrzała nieznanego mężczyznę. Mierzył na oko sporo ponad metr osiemdziesiąt i opierał się o framugę. Każdy nerw jej ciała naprężył się w oczekiwaniu. Nie uszły jej uwagi niebieskie oczy przybysza, jego ciemne włosy i kształtne kości policzkowe. No i usta...

– Mogę w czymś pomóc? – spytała, z trudem pokonując suchość w gardle.

– Mam taką nadzieję. – Nieznajomy uśmiechnął się chłodno. – Jestem tu nowym dyrektorem.

To jakiś żart?

Omiotła jego postać zdumionym spojrzeniem. Nie oczekiwała garnituru ani krawata, ale ten facet wyglądał, jakby dopiero co ukończył wyprawę do Nepalu.

Miał na sobie bojówki, czarny T-shirt i sięgające za kostki buty do wspinaczki.

Nie wyglądał na lekarza, a już na pewno nie na naczelnego. Nie przypominał żadnego z dyrektorów szpitala, z którymi miała dotychczas do czynienia.

- Przyleciałem samolotem - wyjaśnił. - Nie spodziewała się mnie pani?

- Nie... to znaczy tak. Wiedzieliśmy, że pan ma przyjechać. Nie wiedzieliśmy tylko kiedy.

- Nie ma pani zwyczaju przeglądać skrzynki mejlowej? Już dość dawno przesłałem szczegóły mojego przyjazdu.

Kurczę, nie wypadło to najlepiej. A po tym, co teraz powie, wyjdzie na kompletną offermę.

- Nasz system antywirusowy działa ostatnio w dość... wątpliwy sposób. Traktuje niektóre ważne wiadomości jak spam. A wczoraj upadające drzewo przerwało część kabli i internet się zawiesił. Robimy co możemy, ale...

Jack usłyszał w jej głosie arystokratyczny angielski akcent i zamarł. Co ta kobieta tu robi? To ma być szpital? Spojrzał na tabliczkę przybitą do drzwi jej gabinetu.

- Pani jest doktor Darcie Drummond?

Darcie aż się cofnęła, mróz przeszedł jej po kręgosłupie. Boże, zaprezentowała się od jak najgorszej strony! Cholera, jeszcze trochę, a zapomniałaby, jak się nazywa.

- Tak, jestem Darcie Drummond - powiedziała, wyciągając rękę.

- Jack Cassidy - przedstawił się, ściskając jej drobną dłoń.

Darcie cofnęła rękę, zdziwiona ciepłem, które wędrowało w górę jej ramienia.

- To wszystko wypadło chyba całkowicie nieprofesjonalnie - zauważyła przepraszającym tonem.

Jack Cassidy uniósł brwi.

- Nie przyszło ci na myśl, żeby kogoś wezwać do komputera?

Jasne, że jej przyszło.

- Żyjemy tu na odludziu - tłumaczyła się. - Nie tak łatwo o pomoc techniczną. Z reguły każą na siebie czekać.

- Szpital musi mieć pierwszeństwo! - zauważył Jack zniecierpliwiony. - Powinno się im skopać tyłki.

Darcie zachnęła się. O tak, chętnie skopałaby komuś tyłek. Nawet wie komu. Z drugiej strony była zaintrygowana. Jack Cassidy. Czytała jego CV, akurat ten dokument do niej dotarł. Wynikało z niego, że facet przez ostatni rok pracował w Londynie. Czy to mu wystarczyło, by do tego stopnia oderwać się od australijskich korzeni i nie wiedzieć, że prowincjonalne szpitaliki są w jego

ojczyźnie dramatycznie niedoinwestowane?

- Zakładam, że macie tu wodę bieżącą?

O nie, nie z nią te sztuczki. Nie da się zbić z tropu.

- Skądże, wodę czerpiemy ze studni - odrzekła ze śmiertelną powagą.

Uśmiechnął się niechętnie. Babka jest bystra i ma poczucie humoru. No i niezła z niej laska. Praca z doktor Drummond może okazać się całkiem... interesująca.

Przysiadł na rogu biurka.

- Chcę podzwonić, skontaktować się z personelem. Linia działa, mam nadzieję?

- Owszem. - Wskazując palcem aparat telefoniczny, posłała mu lodowate spojrzenie. - Jak skończysz, zastanowimy się, gdzie cię zakwaterować.

Wyszła i pobiegła do recepcji. Kobieca solidarność przede wszystkim, trzeba uprzedzić dziewczyny.

Zamaszystym ruchem otworzyła drzwi i podeszła do kontuaru.

- On już tu jest!

Przełożona pielęgniarek Maggie Neville i dyplomowana pielęgniarka Lauren Walker zastygły.

- Kto taki? - spytała Maggie.

- Nowy doktor. - Darcie z głośnym sykiem wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze.

- Cassidy? Nie widziałam, żeby ktoś wchodził.

- Musiał wejść tylnymi drzwiami. Jest teraz w moim gabinecie - odparła Darcie.

- Jasny gwint! - Lauren otworzyła oczy tak szeroko, że brwi zniknęły pod blond grzywką. - To był ten facet, z którym minęłam się w korytarzu. Wielki, w bojówkach, kamienna twarz, zimne spojrzenie. Całkiem seksy.

Darcie potwierdziła ruchem głowy, przygryzając wargi. Opis Lauren był może nieco przesadzony, ale ona dodałaby jeszcze do niego określenie „męski”.

- A ja myślałam, że to jakiś telewizyjny gwiazdor potrzebuje porady medycznej! - parsknęła Lauren.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała Maggie.

- No wiecie! Nie oglądacie tego reality show z Pelican Springs? Tam grupa facetów mieszka na odludziu w namiotach. Nie wiedziałyście?

- Dla mnie to nowość - stwierdziła Maggie cierpko. - Chwileczkę, Darc, zaraz skończę pisać raport. A ty - zwróciła się do Lauren - idź i rzuć okiem na Trevora Bandę. Niech ten stary idiota nie waży się wstawać z łóżka.

- Okej, jeśli to zrobi, dostanie zimny prysznic - obiecała radośnie Lauren. - Ciao,

miłego weekendu, Maggie.

- Pobożne życzenia - mruknęła przełożona pod nosem. - To co, nareszcie mamy szefa? - zwróciła się do Darcie. - Będzie na kogo wszystko zwał. Jaki on jest?

Niemożliwie przystojny, chciała odpowiedzieć Darcie, ale zamiast tego lekko wzruszyła ramionami.

- Trochę chyba szpanuje.

- Masz na myśli, że to zarozumialec?

- Nie, raczej stara się podkreślić swoją władzę.

- Aha, ważniak - westchnęła Maggie. - Cóż, będziemy musiały szybko przywołać go do porządku.

- Nie, to pewnie moja wina - rozważała Darcie przestraszona, że może za dużo powiedziała. - Zaskoczył mnie.

- Ponad metr osiemdziesiąt chodzącego seksu? - Maggie mrugnęła. - O ile oczywiście można wierzyć Lauren.

- Po prostu nie zrobiliśmy chyba na nim najlepszego wrażenia. - Darcie przewróciła oczami i pokrótce opowiedziała historię zagubionego mejla z zapowiedzią przybycia osobnika nazwiskiem Jack Cassidy.

Maggie wydała stłumiony okrzyk, po czym zaczęła ją uspokajać:

- Nie przejmuj się, w końcu byłeś na miejscu. Harujesz tu jak dziki osioł, bo żaden inny lekarz nie zgodził się osiąść na takim odludziu. A w końcu przyjechałeś tu prosto z Anglii, dla ciebie to musi być podwójnie trudne!

Darcie poczuła wyrzuty sumienia. Pracowała tu nie ze względów ideowych. Nie była altruistką, nie szukała wyzwania. Do Sunday Creek trafiła z czysto praktycznych, egoistycznych pobudek.

Po prostu wodziła palcem po mapie tak długo, aż znalazła miejsce, gdzie Aaron - człowiek, z którym na dniach miała brać ślub - na pewno jej nie wytropi. Poznała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie przyjdzie mu do głowy szukać jej na australijskim pustkowiu.

Ta pewność pozwalała jej na spokojny sen.

- Nie dałabym tu rady bez ciebie i reszty dziewczyn - przyznała, by oddać Maggie sprawiedliwość.

- Fakt, dobrze się dogadujemy. - Maggie wzięła torebkę i pęk kluczy. - Jeśli chcesz, mogę się tu jeszcze pokręcić - zaproponowała.

- Dzięki, nie trzeba. Idź do swoich chłopaków.

Maggie samotnie wychowywała dwójkę nastolatków. Jej życie polegało na wiecznym żonglowaniu - musiała pracować, prowadzić dom, opiekować się dziećmi.

Darcie darzyła ją przyjaźnią i zaufaniem.

To znaczy zazwyczaj Maggie zwierzała się Darcie, która uważnie jej słuchała. Sama Darcie nie dopuszczała innych do swojej prywatności, z informacji poufnych podawała co najwyżej kontakt do fryzjerki, Trudniej niż innym kobietom przychodziło jej pokonanie pewnej bariery.

- Dam sobie radę - zapewniała pielęgniarkę. - Dobrze, że mamy teraz na miejscu szefa, bardziej doświadczonego lekarza - dokończyła z udawanym entuzjazmem.

Gdy Darcie weszła do swojego gabinetu, Jack właśnie odkładał słuchawkę.

- Wszystko ustalone? - zapytała.

- Tak, dziękuję. A co z mieszkaniem?

- Rezydencja naczelnego lekarza jest chwilowo w remoncie, będziesz więc musiał pognieździć się z całą resztą personelu w hotelu pracowniczym. Teraz mieszkam tam tylko ja i jedna z pielęgniarek.

- Jakoś to zniosę - odparł, uśmiechając się niemrawo i kiwając głową.

Darcie poczuła ucisk w żołądku. Będzie musiała pogadać z budowlańcami i skłonić ich do przyspieszenia remontu. Im szybciej Cassidy przeniesie się do własnego domu, tym lepiej. Jego ego samca zostanie usatysfakcjonowane.

- Czasem zatrzymują się u nas także latający lekarze przyjeżdżający do konkretnych przypadków albo studenci, którzy chcą popatrzeć, jak się prowadzi szpital na odludziu - dodała.

Skinieniem potwierdził przyjęcie tego do wiadomości.

- Masz jakiś bagaż? - Patrzyła na niego z niedowierzaniem. To ma być ten od dawna wyczekiwany dyrektor?

- Zostawiłem wszystko przy drodze, w czymś, co wyglądało mi na pralnię czy jakiś schowek.

- Mamy niewielki zespół stałych pielęgniarek, które się wszystkim zajmują. Personel pomocniczy, niestety, ciągle się zmienia - wyjaśniała, starając się nadać głosowi jak najbardziej profesjonalny ton.

- A więc wszystko musisz ogarniać sama z pomocą kilku pielęgniarek? - Spojrzał na nią ponuro.

- Tak, no i oczywiście przy nieocenionej pomocy latających lekarzy.

- Ups, przepraszam. - W drzwiach stanęła Lauren.

- Poznaj, Lauren, to jest doktor Cassidy, nasz nowy szef. - Darcie zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

- Jestem Jack.

- O, cześć. - Lauren uśmiechała się szeroko. - Przyleciałeś, a nikt nie wyszedł po ciebie na lotnisko.

- Nastąpiło zamieszanie z mejlami - ucięła Darcie. - Lauren, chcesz czegoś ode mnie?

- Tak, chciałabym, żebyś porozmawiała z tym młodym Mitchellem Andersonem.

- O czym tu jeszcze rozmawiać? Został wypisany, jutro jedzie do domu.

- Z jego zdrowiem nie ma problemów - zapewniła Lauren - ale on nie wygląda jak ktoś, kto się cieszy na powrót do domu.

- Okej, zerknę na niego.

- Dzięki. - Lauren z ciekawością przyjrzała się Jackowi. - Wracam do recepcji, zawołaj, jeśli będę potrzebna.

- Na co się leczył ten pacjent? - spytał Jack, przepuszczając Darcie w drzwiach.

- Ukąsił go wąż.

- Wiesz, on może mieć potrzebę po prostu o tym pogadać.

- Wiem. - Wzruszyła ramionami. - Sama chciałam się nawet czegoś dowiedzieć o węzach i ich zwyczajach. Zaczęłam rozmowę z Mitchem, ale wtedy nawet się nie odezwał. Dotąd nie miałam kontaktu z takimi problemami - przyznała - ale teraz już znam ogólne zasady: opaska uciskowa i jazda do najbliższego szpitala. No i modlić się, żeby mieli odpowiednią surowicę.

- No tak, kiedyś postępowano się w mniej cywilizowany sposób. - Jack uśmiechnął się cierpko. - Posypywało się ranę prochem strzelniczym i odpalało. Wyobraź sobie, jak makabrycznie wyglądała po tym poszkodowana część ciała - dokończył, śmiejąc się głośno.

Oczekiwał, że będzie wstrząśnięta? Nic z tego.

- Tak, to dość drastyczne - przyznała. - Czytałam o tym w jednej z książek w tutejszej bibliotece.

Jack błysnął zębami w uśmiechu. No tak, jasne. Ona wie wszystko. Mądra, wyluzowana i rozbijająca pewna siebie.

To poważne wyzwanie. I podnieta.

O nie, nie. Dopiero co się pozbierał po nieudanym związku. Na razie chwila przerwy. Kiedy jednak szli korytarzem, świeży zapach szamponu do włosów uderzył go w nozdrza, budząc zmysły...

ROZDZIAŁ DRUGI

- Proszę mi przedstawić historię pacjenta - powiedział, otrząsając się z głupich myśli. Musi zachowywać się profesjonalnie.

- Mitchell ma szesnaście lat - zaczęła Darcie, niespodziewanie łapiąc się na tym, że uporczywie patrzy Jackowi w oczy. Przywodziły jej na myśl morskie pejzaże. - Pracuje na farmie rodziców jakieś sto kilometrów stąd - ciągnęła. - Został ukąszony w poniedziałek.

- A więc cały ten tydzień przebywał w szpitalu.

- To chyba było najlepsze rozwiązanie. Tu jest bezpieczny. Przy takich odległościach, gdyby został wypisany za wcześnie i musiał w razie czego wracać...

- Rozumiem, ostrożność. Postąpiłbym tak samo. Gdzie został ugryziony?

- W łydkę. Na szczęście był dość blisko domu, szybko go znaleziono. No i nie wpadł w panikę. Rodzice przywieźli go do szpitala.

- Nie sądzisz, że może cierpieć na coś w rodzaju stresu pourazowego? Zdarza się w przypadkach pogryzienia przez psy czy rekiny.

Darcie mruknęła coś z powątpiewaniem.

- Jak sypiał? - drażył Jack.

- Rzeczywiście nie najlepiej, ale przypisywałam to temu, że pierwszy raz znalazł się w obcym otoczeniu.

- Pewnie masz rację. Ale może też być inna przyczyna, że się zamknął w sobie. Pamiętaj, Darcie, on ma szesnaście lat. W tym wieku testosteron ma już coś do powiedzenia - Jack uśmiechnął się znacząco.

- Chcesz mi wmówić, że miał opory, bo jestem kobietą? - Dumnie uniosła głowę. - Działałam profesjonalnie.

- Nie wątpię.

- Może porozmawiam z nim jeszcze raz? - Przejęta włożyła za ucho niesforny kosmyk włosów.

- A dlaczego nie ja?

- Ty?

- Jestem teraz pracownikiem. I może twój Mitchell łatwiej się otworzy przed lekarzem mężczyzną? O ile oczywiście pozwolisz.

- Jasne, spróbuj.

Poczuła się niezręcznie. Niby dał jej wybór, ale czy mogłaby mu odmówić?

Mitchell był jedynym pacjentem w trzyosobowej sali. Leżał na łóżku wyraźnie znudzony, cały czas wpatrywał się w ekran telewizora.

Darcie weszła pierwsza, zgodnie z radą Jacka.

- Cześć, Mitchell - przywitała się radośnie. - Widzimy się chyba ostatni raz.

Chłopak zaczerwienił się, nie odrywając wzroku od telewizora.

- To jest doktor Cassidy - ciągnęła Darcie, mierząc pacjentowi ciśnienie. - Będzie z nami pracował.

- Doktor Drummond mówiła mi, że miałeś zatarg z wężem - odezwał się Jack. - Jaki to był wąż?

- Brązowy, z zachodu. One są śmiertelnie niebezpieczne - odparł nastolatek, przenosząc wzrok na sufit.

- Różnią się od zwykłych brązowych?

Wstrzymując oddech, Darcie stwierdziła, że chłopak przeniósł wzrok na Jacka.

- Są inaczej ubarwione - wyjaśnił.

- Jak to?

- Nie są całkiem brązowe - zaczął Mitchell tonem wykładowcy. - Są prawie czarne, tylko głowę i szyję mają jaśniejsze. I mają takie złe spojrzenie. Ten, który mnie dopadł, miał chyba półtora metra długości.

- Boże! - zawołał Jack.

- No właśnie. Omal nie posikałem się w gacie.

- Całe szczęście, że do tego nie doszło - Jack uśmiechnął się powściągliwie, jak mężczyzna do mężczyzny. - Słyszałem, że zachowałeś zimną krew.

- Taka była sytuacja. - Mitch machnął ręką lekceważąco. - U nas od dzieciństwa musisz umieć sobie radzić. Inaczej nie ujdiesz z życiem.

Lekarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ta wypowiedź świadczyła, że chłopak wychodzi z dołka. Dyskretnie naciskany przez Jacka zaczął snuć opowieść o tym, co się stało.

- Jutro jedziesz do domu? - spytał Jack na koniec, ukradkiem zerkając na zegar.

- Tak - odrzekł Mitchell i uśmiechnął się radośnie.

- O której przyjeżdżają rodzice? - spytała Darcie, umieszczając kartę pacjenta w nogach łóżka.

- Około dziesiątej. No i... dzięki za opiekę. - Zawstydzony zerknął na lekarkę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Mitch. Wkładaj teraz dłuższe spodnie, wychodząc na dwór, okej?

- I nie drażnij węży - dodał żartem Jack. - Trzymaj się, koleś.

- Spoko, doktorku. Do zobaczyska.

- Nie ma sprawy.

- Dziękuję, miałeś rację - przyznała wielkodusznie Darcie, gdy znaleźli się z Jackiem na korytarzu.

- Zawsze dobrze mieć drugą parę oczu - odparł Jack. - A pewnie tu było ci o to niełatwo.

- Głupio mi, jak pomyślę, że chciałam go odesłać do domu w tym stanie.

- Bez przesady. Wykonałaś dobrą robotę. Wyleczyłaś pacjenta. Jest młody, zdrowy, wytrzymały. Jakoś dałby sobie radę z tą traumą, pewnie pogadałby z rodzicami albo z kolegą.

- No tak, medycyna nie załatwi wszystkiego. Lekarz nie jest bogiem, nie może się wszędzie doszukiwać drugiego dna.

- Brr! - Jack udał, że dostał dreszczy. - To byłoby straszne, wszyscy byśmy zwariowali. To co, pójdziemy obejrzeć jeszcze jakiegoś pacjenta?

- Nie, nie trzeba. Ja zawsze jestem na bieżąco.

- Świetnie. - Jack uniósł obie ręce w górę. - W takim razie koniec na dziś. A ja muszę wziąć prysznic, ogolić się i napić zimnego piwa. W tej kolejności.

- No tak, powinnam się była domyślić. - Starła się spojrzeć na niego bez emocji. Zauważyła głębokie cienie pod oczami. Nagle złapała się na tym, że ma ochotę dotknąć jego twarzy, usunąć oznaki zmęczenia. Przeraziło ją to nie na żarty. Jej zaufanie do mężczyzn było jeszcze bardzo kruche.

Dom dla personelu stał o jedną przecznicę od szpitala. Był zbudowany z drewnianych bali, otoczony obszernymi werandami oferującymi poranne słońce i przyjemny cień w długie upalne dni.

- Jesteśmy na miejscu.

Darcie otworzyła furtkę. Idąc ścieżką, czuło się mocny zapach jaśminu.

- A to kto? - spytał Jack, gdy od schodków zaczął zbliżać się ku nim duży owczarek.

- Nazywa się Capone - odparła z uśmiechem.

- Dlaczego? - spytał Jack, drapiąc psa za uchem.

- Bo wszystko uchodzi mu na sucho.

- To prawda, kolego? - Jack zachichotał. Pies odpowiedział mu spojrzeniem niewiniątka. - Jest już chyba nie najmłodszy? Skąd się tu wziął?

- Podobno należał do jednego z pacjentów. Jego pan umarł w szpitalu, a pies przestał jeść, nie chciał odejść. No i został.

- Został przez was adoptowany?

- Coś w tym rodzaju. Oczywiście nie mógł zamieszkać w szpitalu, więc tu znalazł dom. I chyba jest zadowolony.

- Jesteś wspaniały, staruszkule - przemawiał Jack do psa, głaszcząc go po posiwiałym grzbiecie. Uwielbiał psy pasterskie. Tam gdzie dorastał, było ich pełno.

- Chyba cię zaakceptował - zauważyła.

- Na to wygląda. - Twarz Jacka złagodniała.

Darcie też wzruszał ten widok - zwalisty facet i jego pies... Miała ochotę sięgnąć po telefon i zrobić im zdjęcie. Co za sentymentalny absurd.

- To co, wejdziemy? - powiedziała, żeby się do końca nie rozkleić. - Mamy tu sześć sypialni. Są dość duże i wygodne - ciągnęła, gdy rozglądali się po obszernym holu. - Wygospodarowaliśmy też pewien fundusz na zatrudnienie pomocy domowej. To Meg McLeish, nasz prawdziwy skarb. Ogarnia wszystko.

Jack skwitował to uprzejmym hmm. Takie szczegóły nie interesują prawdziwego mężczyzny.

- Tu powinno ci być wygodnie. - Darcie otworzyła drzwi do jednego z pomieszczeń. Powiało przyjemnym zapachem świeżej pasty do mebli.

- Wspaniale, Darcie, dziękuję - mówił Jack omiatając wzrokiem królewskich rozmiarów łóżko, stoliki i wygodne szafy. - Zaraz się tu urządzę.

Darcie zrobiła krok w tył. Chyba nie będzie mu już potrzebna, dał to wyraźnie do zrozumienia.

- W końcu korytarza jest komoda. Weź sobie z szuflady pościel i ręczniki - dodała.

- Niestety pokoje są bez łazienek. Dom budowano w czasach, gdy nie było takiej mody. Są dwie łazienki do wspólnego użytku.

- Wszystko w porządku, Darcie, dziękuję - powiedział lekko zniecierpliwiony, przysiadając na brzegu łóżka.

- W takim razie zostawiam cię - odrzekła.

Spojrzał na nią i skrzywił się. Czyżby ją uraził? Podbródek jej drżał, a on dobrze wiedział, co to oznacza. Wstał.

- Przepraszam cię, muszę się odświeżyć. Będę bardziej towarzyski, obiecuję.

- Fajnie, przyjdź później do kuchni. Może znajdzie się jakieś zimne piwo.

Po dwudziestu minutach pojawił się w kuchni.

- Szybki jesteś - skomentowała Darcie.

W dzinsach i koszuli w prążki prezentował się wspaniale. Dużo lepiej niż jakikolwiek, nawet najwyższy rangą lekarz. Podeszła do lodówki, wyjęła piwo

z sześciopaku i podała mu.

- Mam nadzieję, że będziesz zadowolony. Wy, Australijczycy, jesteście przywiązani do lokalnych marek.

Jack ledwo rzucił okiem na etykietkę. Błyskawicznie zdjął kapsel i pociągnął spory łyk.

- W tej chwili nie liczy się dla mnie marka. Byle było schłodzone - powiedział, opadając na krzesło. - Napijesz się ze mną?

- Dziękuję, mam tu swoje wino.

- Jak sobie organizujecie posiłki? - zapytał, prosząc ruchem ręki, by usiadła za stołem.

- Na razie mieszkam tu tylko ja i Lauren, więc wszystko zależało od przypadku, głównie od rozkładu jej dyżurów. Na ogół po prostu brałyśmy sobie coś ze szpitalnej kuchni. Ale teraz trzeba będzie to usystematyzować. Może jakoś podzielimy się zakupami?

- Jestem za - odparł, przeciągając się. - A teraz? Jestem strasznie głodny. mamy coś w lodówce?

- Chyba tylko jakiś arbuz i krówki - odrzekła Darcie z kamienną twarzą.

- Okej, widzę że wasza dieta uwzględnia wszystkie najważniejsze składniki - zauważył z wystudiowanym spokojem.

Nie mogła się nie roześmiać. Twarz Darcie nareszcie się ożywiła. Jack pochylił się, uważnie obserwując ładny rysunek jej uśmiechniętych ust. Poczul coś... Cholera! Szybko opanował głupie myśli.

- Gdybym wiedziała, że przyjeżdżasz...

- Upięknabyś ciasto - dokończył, prostując się.

- Albo pieczeń.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że w lodówce nie ma nic jadalnego? - Zachichotał. - Żadnych resztek? Okruszków sera? Ani jednego zapomnianego jajeczka?

- Przykro mi.

- A tutejszy pub? Dają tam coś do żarcia?

- Tak, nawet nieźle. Dziś jest wieczór steków. Ta wiadomość na pewno cię ucieszy.

- Świetnie, a więc w drogę, doktor Drummond. Stawiam kolację.

- Weźmiemy mój samochód, to kawałek drogi.

- A ja? Przewidziano dla mnie jakiś wóz? - pytał, gdy szli do auta.

- Tutejszy klub biznesu zakupił land-rovera do użytku naczelnego lekarza. Stoi w szpitalnym garażu. Uruchomimy go jutro, dobrze?

- Jasne. - Wsiadł do samochodu i postanowił nie poruszać dziś żadnych kwestii

praktycznych.

To był typowy wiejski pub. Bar, stół bilardowy i kilka stolików z krzesłami po kątach.

- Z tyłu jest ogródek piwny - oznajmiła Darcie - ale zamówienie musimy złożyć przy barze.

- Co zjesz? - zapytał, stając przed tablicą z wypisanym menu. - O, widzę, że jest tu duży wybór - zauważył. - Stek z jarzynami albo stek z frytkami i sałatą.

- Ja poproszę stek i sałatę. Bez frytek.

- A co do picia? Wino?

- Raczej mineralną - odrzekła, kręcąc głową.

- Ja też, kolejne piwo by mnie uśpiło.

Spojrzała na niego chłodno. Dobrze wiedzieć, że jej towarzystwo jest dla niego aż tak nudne...

Jak w każdy piątkowy wieczór ogródek był przepełniony. Darcie co i rusz musiała odpowiadać na czyjeś pozdrowienia.

- Ludzie są tu bardzo serdeczni - wyjaśniła.

- Masz wielu przyjaciół? - spytał, gdy przepychali się do wolnego stolika.

- To nie takie trudne, wystarczy się rozejrzeć.

- Fakt, powinienem zacząć się lepiej zachowywać. Ale nie bój się, nie zamierzam tańczyć na stole.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak robił.

- Ja raz próbowałem.

- Byłeś pijany?

- A co w tym dziwnego? Byłem po ostatniej rozmowie kwalifikacyjnej i wiedziałem, że zostałem przyjęty na staż dla chirurgów. - Uśmiechnął się ciepło.

Uniosła brwi. Czy nie za dużo poufałości jak na pierwsze spotkanie? Zdała sobie jednak sprawę, że Jack Cassidy po prostu taki jest - otwarty i bezpośredni. Dobra okazja, by dowiedzieć się czegoś więcej o mężczyźnie, który spadł jej dziś dosłownie z nieba. I który od teraz jest jej szefem.

- Skąd dzisiaj przyleciałeś? - spytała.

- Zdziwił cię mój strój?

Owszem. I opalenizna.

- Faktycznie, nie wyglądałeś na kogoś, kto wraca z Londynu.

Podniósł powoli szklankę.

- Włóczyłem się trochę po Nowej Gwinei. Dwa tygodnie. Przeszedłem dużą część

szlaku Kokoda. Obiecałem dziadkowi, że kiedyś to zrobię w jego imieniu. Jego batalion stacjonował w tamtych stronach w czasie drugiej wojny światowej.

- To coś bardzo ważnego dla Australijczyków, prawda?

Skinął głową.

- Tak, nasi chłopcy to prawdziwi bohaterowie. Nakręciłem tam film. Kiedy następnym razem zobaczę się z dziadkiem, pokażę mu, jak teraz wyglądają okolice, które on pamięta z wojny.

Darcie poczuła, że jej serce zaczęło bić nieco szybciej. Zrozumiała, że oto nadarza się okazja głębiej wejść w jego prywatność, zapytać o rodzinę. Ale coś ją powstrzymywało. To byłoby zbyt... intymne. Poza tym poczułby się upoważniony do wzajemności. Zaczęłby wypytywać o jej rodzinę, a ona niechętnie poruszała ten temat, nawet z Maggie.

Rozmyślenia przerwał jej ktoś z obsługi gwałtownie przeciskający się w kierunku ich stolika. Darcie zerwała się na równe nogi.

- Co się stało? - zapytał Jack, również wstając. - Znasz tego człowieka?

- To Warren Rowe, menedżer.

- Dzięki Bogu, że tu jesteś, Darcie. - Przybysz był blady jak ściana i się trząsł. - Naszego kucharza, tego młodego Nathana, poraził prąd. Potrzebny jest lekarz.

- Macie ich tu nawet dwoje! - Jack odwrócił się do Darcie. - Jedź po swoją torbę lekarską, ja zrobię w tym czasie, co będę mógł. Jak dawno to się stało? - zapytał menedżera, gdy razem biegli przez taras do kuchni.

- Jakieś dwie minuty temu. Miał w ręku nóż elektryczny i...

Jack w kilka sekund znalazł się przy leżącym na podłodze kucharzu. Młody człowiek był śmiertelnie blady, miał sine usta i - co gorsza - wciąż ścisnął w dłoniach nieszczęsny nóż, który go poraził.

- Natychmiast wyłączyłem prąd - zapewnił Warren. - Czego panu potrzeba?

- Macie jakiś sprzęt ratunkowy?

- Defibrylator i tlen.

- Szybko przynieś. Jedno i drugie.

- O Boże, Nathan! - krzyknęła Darcie, która zdążyła już wrócić i teraz przerażona patrzyła na leżącego. Otworzyła swoją apteczkę. - Ma jakieś reakcje?

- Na razie nie. Darcie, podaj aparat z tlenem. Muszę sprawdzić drogi oddechowe.

- Ja mogę zrobić masaż serca - zaofiarował się Warren.

Jack ostrożnie mocował tubę przy twarzy pacjenta i podłączał ją do aparatu.

- No już, słoneczko, oddychaj - zachęcał. - Dasz radę!

Darcie zacisnęła wargi. Czekwała na jakikolwiek ruch klatki piersiowej Nathana.

Patrzyła, jak Jack co chwila nerwowo sprawdza mu puls. Bez rezultatu.

- Impuls? - spytała ze ściśniętym sercem.

- Nie mamy wyjścia - odrzekł cierpko.

Młode ciało podskoczyło i opadło. Darcie dotknęła przegubu ręki chłopaka. Pulsu niestety nie wyczuła.

- Cholera! Jeszcze raz! - Głos Jacka niósł się po staroświeckim kuchennym pomieszczeniu.

Proszę cię, Nathan, spróbuj, błagała Darcie w myślach. Nagle wyczuła, że ciało chłopaka lekko drgnęło. Potem jeszcze raz, mocniej.

- Mamy go - stwierdziła z wyraźną ulgą w głosie.

- Dobra robota - powiedział Jack i twarz mu się rozjaśniła. - Teraz musimy wpompować w klienta trochę płynów. Czy ktoś wezwał karetkę?

- Jesteśmy, doktorze. - Dwóch ratowników medycznych zbliżało się z noszami.

- Przedstawiam wam, chłopaki, naszego doktora. Jack Cassidy. Od kilku godzin kieruje szpitalem - wyjaśniła Darcie.

- I już udało mu się uratować komuś życie, jak widzę. Ja jestem Zach Bayliss a to mój kolega Brett Carew - jeden z sanitariuszy dokonał prezentacji.

Nathan na noszach trafił do karetki.

- A więc za chwilę widzimy się w szpitalu, tak, doktorze? - upewniał się Zach.

- Zaraz tam będę. A pan - zwrócił się do Warrena - powinien zrobić solidny przegląd instalacji elektrycznej.

- Jasne, doktorze, nie przeżyłbym drugi raz czegoś takiego.

- Trzeba na razie zamknąć kuchnię. Macie jakiś plan awaryjny?

- Tak, będziemy podawać pizzę z pieca opalanego drewnem. Jesteśmy na to przygotowani.

- A nie moglibyście przysłać kilka takich pizz do hotelu dla lekarzy? Umieram z głodu. - Jack uśmiechnął się żałośnie.

- Jasne, nie ma problemu. I jeszcze raz dziękuję, doktorze. Dobra robota, jeśli chodzi o Nathana.

Darcie czekała na Jacka na tarasie.

- Chyba niczego sobie nie złamał, ale na pewno nieźle się potłukł - zauważyła, gdy szli do samochodu.

- Zbadamy go. Nie wiesz, czy ma jakąś rodzinę?

- Nie wiem, ale Warren na pewno zawiadomi, kogo trzeba.

Jack spojrzał na nią z ukosa.

- Powiedział, że to z twojej inicjatywy zaopatrzył pub w aparat tlenowy

i defibrylator. Brawo, doktor Drummond.

- Staram się być przewidująca. Wypadki chodzą po ludziach, a w pubie w weekendy zawsze jest pełno. Odkąd tu jestem, wydarzyło się już kilka ataków serca. Personel lokalu jest też przeszkolony w udzielaniu pierwszej pomocy.

- Dzięki tobie?

- I naszej przełożonej pielęgniarek, Maggie Neville. Jeszcze jej nie poznałeś. Myślę, że ona w razie czego mogłaby pokierować szpitalem - rzekła Darcie.

- Dobrze wiedzieć, że mogę liczyć na kopię zapasową.

- A ja jestem zadowolona, że dziś mogłam na ciebie liczyć, Jack - powiedziała po chwili milczenia.

Poczuł w żyłach rodzaj dziwnego szmeru. Co to było, u licha? Wyraz uznania w ustach pełnej rezerwy angielskiej lekarki aż tak na niego podziałał? Jedno jest pewne - ten jej szorstki komplementik płynął ze szczerego serca.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Ja się wszystkim zajmę, Darcie - powiedział, gdy stanęli na szpitalnym parkingu.
- Idź do domu, zasłużyłaś na spokojną noc.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej. Zresztą ja tu rozkazuję. Jest pani na dziś wolna, pani doktor.

- Dziękuję. - Z ulgą zrzuciła z siebie ciężar odpowiedzialności. - Dałabym teraz królestwo za relaksującą kąpiel.

- No i pamiętaj, kolacja w drodze. Warren ma nam przysłać pizzę.

- Co z nim? - zapytała cicho Lauren, gdy Jack wypełniał kartę Nathana.

- Ma poparzenia na lewej ręce i prawej stopie. No i jest w szoku. Trzeba będzie sprawdzić, jak pracuje serce.

Pielęgniarka zmierzyła choremu puls, który wracał do normy. Nathan otworzył oczy.

- Jesteś w szpitalu - wyjaśniła mu Lauren. - Zostałeś porażony prądem. To jest doktor Cassidy.

- Spokojnie, Nathan - dodał Jack. - To ustrojstwo pomaga ci oddychać. Ale teraz, gdy dochodzisz do siebie, możemy je odłączyć. Będziesz oddychał samodzielnie.

Poprosił Lauren, by jednak przez jakiś czas miała w pogotowiu tlen. Lauren zauważyła, że Jack ma bardzo delikatne dłonie. Doceniła precyzję i wprawę, z jaką odłączał Nathana od respiratora. Niektórzy robili to tak, jakby wrywali komuś paznokcie obcęgami.

- Prosiłbym cię teraz, Nathan, żebyś zakasłał - mówił Jack. - No, nie bój się, niczego nie zepsujesz.

Zdezorientowany pacjent zakasłał posłusznie.

- Dobrze, teraz cię osłucham. W porządku. Oddychasz bez przeszkód.

- Dziękuję, doktorze. Miałem szczęście. Kiedy będę mógł stąd wyjść? - zapytał Nathan.

- Spokojnie, kolego, nie tak szybko. Masz potłuczone całe ciało. Musimy mieć cię na oku przez kilka dni.

- Ale moja praca...

- O to się nie martw. Warren przyjdzie cię jutro odwiedzić. A ja chciałbym, żebyś teraz odpoczął i pozwolił pielęgniarkom poopiekować się sobą.

- Jesteśmy w tym niezłe. - Lauren uśmiechnęła się do młodego człowieka. -

Zbadać poziom płynów, doktorze?

- Poproszę - odparł Jack, notując coś w karcie pacjenta. - Zawołaj mnie w razie czego, będę w pobliżu.

- Jasne. Dobrze, że z nami jesteś, Jack.

- O której tu rano otwierają sklepy? - zapytał, chowając długopis do kieszonki.

- Zależy, czego potrzebujesz. Jest kilka małych kafejek czynnych od wpół do szóstej. Supermarket i piekarnia otwierają się o szóstej, reszta około wpół do dziewiątej.

- Dziękuję za informacje. - Jack skinął głową i oddalił się zamaszystym krokiem.

Jedli pizzę wprost z pudełka. Jack walczył z ciągnącym się roztopionym serem i nieco przesadnie okazywał radość z jedzenia.

- To jest fantastyczne! Dlaczego pani tak patrzy, doktor Drummond? Chyba nie oczekiwała pani zastawy stołowej i tym podobnych ceregieli?

- No nie. Stan zapasów w mojej lodówce jasno wskazuje, że żadna ze mnie domowa bogini - odparła.

- I całe szczęście! Chcesz ostatni kawałek?

Pomachała rękami, oddalając pokusę, i wstała.

- Znalazłam w lodówce resztki lodów malinowych. Masz ochotę? A może herbata?

- Nie, dziękuję. Wystarczy kubek porządnej kawy.

- Mam tylko rozpuszczalną.

- Może być.

Jack podszedł do zlewu umyć upačkane sosem ręce. Wziął z półki dwa kubki.

- No i wszystko dobrze się skończyło. Mam na myśli naszą zaimprovizowaną kolację - podsumował.

Stał bardzo blisko i ciało Darcie nie omieszkało jej tego zasygnalizować. Była spięta, oddychała płytko.

- Fakt, wyszło fajnie - potwierdziła, powoli stawiając kubki na tacy, jakby były z cennej porcelany. A przecież to zwykły fajans z supermarketu.

- Jak myślisz, Darcie? Ułoży się nam współpraca?

Zamrugnęła niepewnie powiekami. W ciągu zaledwie kilku godzin Jack Cassidy wniósł do jej życia spokój, autorytet, wrażenie, że można się na nim oprzeć.

Stop, już to przerabiała. To droga donikąd. Woda zaczęła się gotować w elektrycznym czajniku.

- Chyba nie mamy innego wyjścia - odparła, nalewając wrzątek do kubków i udając, że nie widzi w oczach Jacka ciepłych ogników. - Jesteśmy jedynymi

lekarzami w promieniu kilkuset kilometrów. Żadne z nas nie może pozwolić sobie na fochy.

- Twoim zdaniem mężczyźni też mają fochy?

- I to jakie! Zwłaszcza w trakcie operacji. Tylko tego tak nie nazywają - wyjaśniła, podając mu kubek z kawą.

Jack wytrzymał jej spojrzenie. Ona ma zachwycające oczy! Jaki to kolor? Orzechowe? Chociaż miejscami przechodzą w ciemną zieleń. I patrzą na niego z wyczekiwaniem.

- Ja myślę, że faceci po prostu lubią perorować i pouczać. Miewają kryzysy. No i są wybuchowi.

- Święta słowa. - Uśmiechnęła się i zmarszczyła nos.

Do diabła! Jack niemal fizycznie odczuł przebiegający między nimi prąd. Czyżby jego z takim trudem wypracowany spokój miał runąć jak domek z kart? Nie, za nic nie może do tego dopuścić.

Uniósł kubek do ust. Skrzywił się, bo płyn był jeszcze bardzo gorący. Musi działać, zniszczyć tę rodzącą się bliskość, zanim zrobi coś niestosownego.

Na przykład ją pocałuje.

- A może skorzystamy z pogody i przeniesiemy się z kawą do ogródka? - zaproponował.

Z lekka zdziwiona podążyła za nim posłusznie.

- Zapalę tylko zewnętrzne światło, bo w tych ciemnościach można złamać kark.

- Nie trzeba, księżyc świeci bardzo jasno. - Jack rozejrzał się, siadając za drewnianym stołem. Zapach jaśminu był odurzający. - To miejsce było na pewno świadkiem niejednej historii.

- Pewnie tak.

Spojrzał w niebo i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia na widok sklepienia pełnego gwiazd. Istna złota kurzawa. W Londynie nigdy się czegoś takiego nie zobaczy.

- Jesteś daleko od domu, Darcie.

Zamarła. Spodziewała się podobnych słów, ale nie tak szybko. Przez chwilę miała ochotę wyznać mu prawdę, ale w ten sposób odsłoniłaby się, stała się bezbronna. A może i dla niego byłoby to krępujące? Zacząłby się nad nią litować. A tego by nie zniosła.

- Jasne, Australia leży daleko od Anglii - odrzekła nonszalancko. - Ale teraz tu jest mój dom.

W jej głosie było coś w rodzaju wyzwania. No tak, Darcie też pewnie uciekła tu

przed jakimiś swoimi demonami. Podobnie jak on.

- Opowiedz mi o Sunday Creek - zaproponował. - Nie ma lekarza rodzinnego, jak sądzę.

- Nie na stałe. Z każdym problemem zdrowotnym ludzie zgłaszają się do szpitala.

- Czyli ciągle coś się dzieje?

- To prawda, miałam tu sporo dziwnych przypadków.

- No tak, jak to na odludziu - zachichotał. - Coś szczególnie zapamiętałaś?

- O tak. - Uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach. - Zaraz po przyjeździe wezwano mnie do jednej z okolicznych posiadłości. Ktoś się skaleczył przy stryżeniu owiec. Byłam zdumiona, jakie ogromne są tu przestrzenie.

Jack pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Kiedy weszłam do szałasu - ciągnęła - poczułam się jak w ulu. Taki był tam ruch i gwar. Stałam zdezorientowana, nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Wtedy jeden z mężczyzn krzyknął „Kaczki na wodzie!” i nagle zapadła martwa cisza.

Jack wybuchnął śmiechem.

- Ty oczywiście wiesz, co to znaczy? - spytała go, kryjąc uśmiech.

- Tak, to taki zawołany sposób powiedzenia: Uważajcie na słowa, tu jest dama.

- Wiem, spytałam potem Maggie. W szałasie zostałam do świtu. Rana była głęboka i wymagała szycia. Poradziłam sobie - dodała skromnie.

- Jestem pewien.

Patrzył na nią w świetle księżyca. Zdążył się przekonać, że jest odważna i energiczna. Na pewno jest świetną lekarką. Był ciekaw jej historii. Co ją pchnęło do wyjazdu na koniec świata? Wyciągnął się wygodnie i założył ręce za głowę.

- Wezmę dyżur na cały weekend. Chcę, żebyś sobie odpoczęła.

- Mam ci oficjalnie przekazać obowiązki?

- Formalności mogą poczekać do poniedziałku. A w czasie weekendu spróbuję się trochę zorientować co i jak.

- Nie będę wiedziała, co z sobą zrobić - mruknęła.

- Zabaw się, pospotykej z przyjaciółmi - zasugerował.

Według niego to takie proste. Darcie musiała jednak nieźle pogłównkować, by coś wymyślić i nie snuć się cały weekend po domu. Postanowiła odwiedzić parę znajomych - Louise i Maxa Aldertonów. Mieszkali w posiadłości Willow Bend, szesnaście kilometrów stąd. Louise zasiadała w radzie nadzorczej szpitala i wielokrotnie dawała sygnały, że chciałyby się z Darcie zaprzyjaźnić. Wystarczy teraz zadzwonić i zapytać, czy zgodzi się na odwiedziny. Dobry pomysł. Mogliby też

wybrać się na jakąś przejażdżkę...

- Okej, tak zrobię. Bardzo ci dziękuję.

O ile spanie do wpół do ósmej rano uzna się za wystarczające, to Darcie mogła się uważać za wyspaną. Usiadła na łóżku. Słońce było już dość wysoko i temperatura powoli wzrastała. Darcie ziewnęła, przeciągnęła się i wstała. Ma dziś wolny dzień.

Gdy przemykała się w kusej koszulce do łazienki, przypomniało się jej, że od wczoraj ma za sąsiada mężczyznę. Czowała się teraz w tym domu zupełnie inaczej. Jakby budynek nagle... ożył. Z kuchni płynął rozkoszny zapach przypiekanego bekonu. A to mogło znaczyć tylko jedno - Jack właśnie zabrał się za śniadanie. Pozostaje mieć nadzieję, że również ją wziął w rachubę, zamierzała bowiem mu towarzyszyć.

Idąc do kuchni, zaczęła mieć wątpliwości. Dlaczego niby Jack miałby ją karmić? Ona raczej nie zrobiłaby mu śniadania. Zdążyła go już trochę poznać i oceniała korzystniej niż po pierwszym spotkaniu. Nie uważała za szpanera, lecz fachowca. Był też dość bezpośredni, a ona ceniła tę cechę. Jeśli przygotował śniadanie tylko dla siebie, na pewno jej to powie.

Stała w drzwiach kuchni.

- Ranny z ciebie ptaszek - powiedziała.

- Dzień dobry - rzucił znad patelni. - Jakie jajka lubisz?

- Najbardziej chyba jajecznicę.

- Ja też - uśmiechnął się. - Rozbijesz jajka, a ja dopilnuję w tym czasie boczku i kielbasek?

- Jasne. Byłeś już w supermarkecie? - spytała, dostrzegając na stole nierozpakowane zakupy.

- Wcześniej się obudziłem. Pozwoliłem sobie pożyczyć twój samochód, okej?

- Oczywiście. Lauren i ja oddamy ci pieniądze za część zakupów.

- Pogadamy o tym później. Pomidory?

- Chętnie. A ja zrobię grzanki. Kupiłeś pieczywo? - Poczowała, jak ślinka napływa jej do ust.

- Tak, piekarnia była zamknięta, ale drzwi miała uchylone, więc zwołałem i piekarz zgodził się sprzedać mi dwa bochenki.

- To Jai. Razem z żoną przyjechali tu z Tajlandii. Piecze fantastyczny chleb.

- Zostawimy coś dla Lauren? - zapytał.

- Ona jeszcze pośpi. Poza tym jest wegetarianką.

- Tofu?

- Nie, ona raczej lubi ryż i warzywa. Robi wspaniałą grillowaną cukinię z serem halloumi.

- Też to lubię, o ile jest podane do solidnego steka. - Uśmiechnął się złośliwie. - Gotowe.

- Już wyjmuję talerze. Widzę, że świetny z ciebie kucharz.

- Wychowałem się na farmie. Każdy w domu musiał umieć przygotować posiłek, zwłaszcza w porze żniw. Albo dasz jeść pracownikom, albo dostaniesz kopa w dupę. Przepraszam, zdarzają mi się prostackie wyrażenia.

- Nie szkodzi. Miałeś dużo rodzeństwa?

- Dwóch braci i dwie siostry. Ja jestem najstarszy. Przy stole bywało tłoczno.

Zabrzmiało to czule i ciepło. Darcie poczuła ciężar swojego samotnego dzieciństwa. Ale to było dawno i nieprawda. Uśmiechnęła się.

- Miałeś więc szczęśliwe dzieciństwo?

Mruknął coś niezrozumiale. Wyczuł nagłą zmianę nastroju Darcie i nie zamierzał wkraczać na potencjalnie niebezpieczny teren. Zresztą jego szczęśliwe dzieciństwo to zamierzchnia przeszłość.

- Jakies plany na dziś? - zapytał.

- Przejazdźka.

Opowiedziała mu o Aldertonach i ich posiadłości Willow Brend. Posiłek upłynął na niezobowiązującej rozmowie.

- W recepcji jest dla ciebie komplet kluczy. W tym także kluczyki do samochodu - powiedziała, zbierając ze stołu naczynia. - Dziś dyżur ma Natalie Britten, dyplomowana pielęgniarka. Być może poznasz też część personelu pomocniczego. A tu jest lista telefonów alarmowych.

- Widzę, że lubisz porządek.

- Cóż, to w końcu jest szpital. - Uniosła dumnie głowę.

- Moje pierwsze wrażenie było zgoła odmienne. - Uśmiechnął się uszczypliwie.

- Jedna mała wpadka. - Wzruszyła ramionami. - Zaskoczyłeś nas, sam tego chciałeś.

- Może... Będziesz wieczorem w domu?

Boże, on mówi zupełnie jak jej ojciec. Bada, czy ma chłopaka, czy co?

- Owszem, ale mogę wrócić bardzo późno.

- Baw się dobrze - powiedział, zamykając zmywarę.

- Na pewno. Dziękuję za ten wolny dzień, Jack.

- Zasłużyłaś sobie na wiele więcej.

- Gdybyś mnie potrzebował...

- ...to do ciebie zadzwonię. A teraz zmykaj, bo się rozmyślę.

Wyszedł na taras i wychylił przez drewnianą barierkę. Ujrzał obsypany czerwonymi kwiatami krzew kuflika i poczuł się jak w domu. Ta australijska roślina kwitnie na okrągło, niezależnie od kaprysów pogody. Na horyzoncie ujrzał gęstą chmurę, ale go to nie zmartwiło. Nie powinna się zbliżyć.

Usłyszał kroki Darcie. Spojrzał na nią i poczuł typowo męskie ukłucie w sercu. Związała włosy w koński ogon, a usta podkreśliła wyrazistą szminką. Poczuł, że ma na nią ochotę.

- Oglądasz pejzaże? - spytała, zatrzymując się. Spomiędzy czerwonych warg błysnęły białe zęby.

- Tak sobie się rozglądam... - Nie była to do końca prawda. - Uważaj na siebie - dodał.

- O mnie się nie martw - odcięła się.

A to pyskata małpa! Patrzył, jak odjeżdża, walcząc z chęcią, by za nią pobiec, zatrzymać i spędzić razem resztę dnia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ktoś zapukał, wrywając Darcie z głębokiego snu.

- Kto tam? - zapytała półprzytomna.

- To ja, Jack. Możesz podejść do drzwi? Chyba mamy wypadek.

Jack? Jaki Jack? Zamknęła oczy i ponownie zapadła w sen. Jack spojrzął na zegarek i załomotał do drzwi.

- Obudź się, Darcie, muszę z tobą pomówić!

Jack! O Boże, ten Jack. Darcie usiadła na łóżku i oprzytomniała gwałtownie.

- Która godzina? - Mrugała bezradnie, patrząc na stojącego w drzwiach mężczyznę.

- Piąta rano.

Narzuciła szlafrok na cienką rubinową koszulkę, pod którą kołysał się dość obfity biust. Cholera. Jackowi oddech uwiązał w krtani. Cofnął się.

- Słuchaj, coś się dzieje w okolicy. Kręcą jakiś film czy coś w tym rodzaju. Wiesz o tym?

- Coś słyszałam. Jaki to wypadek?

- Podobno dwójka aktorów wpadła do opuszczonej studni. Nie wiadomo dokładnie, ale chyba trzeba pomóc. Przepraszam, że cię budzę, ale możemy być potrzebni.

- Okej, daj mi chwilę.

- Będę czekał przed domem. Nie grzeb się za długo.

Wykrzywiła się złośliwie do zamkniętych drzwi, narzuciła dżinsy, T-shirt, tenisówki i pobiegła do łazienki.

Uzbrojeni w sprzęt ratunkowy jechali land-roverem Jacka.

- Rozmawiałem z Malem Dufym - mówił. - To sierżant policji. Dał mi wskazówki, jak jechać. To około czterdziestu kilometrów.

- Ktoś już tam jedzie oprócz naszych ratowników?

- Policjant zawiadomił jakieś służby lokalne.

Darcie skinęła głową. Dobrze знаła wolontariuszy z tutejszych społecznych służb ratowniczych. Kierował nimi właśnie Mal Dufy.

- Ich samochód i sprzęt garażuje koło posterunku policji. Są pełni poświęcenia, ale zmobilizowanie kogoś tak wcześnie rano w niedzielę może być trudne.

Jack spojrzął na nią z uznaniem za orientację w sprawach lokalnych.

- Dlaczego, do jasnej cholery, zaczęli filmować tak wcześnie - mruknęła

niezadowolona.

- Może chodziło o specjalne światło.

- Widzę, że znasz się na kręceniu filmów?

- O taaak. - Roześmiał się dobitnie i jakoś tak fałszywie. - Moja eks jest aktorką.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Darcie spojrzała na niego z ukosa, ale więcej się nie odezwał. Smutny czy zły? A może jedno i drugie?

- Ekszona?

- Nie, tak daleko się nie posunęliśmy. Byliśmy razem trzy lata, ale przy tak różnych zawodach... Związek był nie do utrzymania.

Nie wspomniał, że kiedy pojechał do Anglii, gdzie Zoe kręciła kolejny film, zastał ją już w ramionach innego. Przełknął gorycz tego wspomnienia, cóż, życie na szczęście toczy się dalej. Niezależnie jak bardzo zraniono twoje ego.

- Każdy związek to ryzyko - przytaknęła. - Nie wiesz, jak szeroka może być ta studnia? - spytała, taktownie zmieniając temat.

- O ile pamiętam, dawniej kopano studnie o wymiarach półtora metra na półtora lub dwa na dwa. Coś w tym rodzaju.

- Czyli to coś bardzo ciasnego?

- Boisz się zamkniętych przestrzeni?

- Nie, kiedyś łąziłam nawet trochę po jaskiniach. Usiłuję sobie wyobrazić, jak to może wyglądać. - Poczowała znajomy ucisk w żołądku.

- Wkrótce się przekonasz. Na pewno będzie ciemno, a na dnie jakieś rumowisko. Można się też nadziać na szczury.

- Szczury? Mam nadzieję, że co najwyżej już te dawno zdechłe. - Wzdrygnęła się na samą myśl. - Ciemno też nie powinno być. Jak zresztą oni w ogóle mogli nie zauważyć tej studni? Przecież było już po wschodzie słońca.

- Pewnie była przykryta, skoro jej nie używano.

- To dlaczego nie przykryto jej solidnie? Nie zbudowano jakiegoś dachu?

- Dachy? Widzę, że musisz się jeszcze wiele nauczyć o życiu w australijskim buszu, Darcie. Hodowca bydląt nie ma czasu na stawianie dachów nad nieużywaną studnią! Przykrywa ją byle czym.

- I wypadek gotowy. Daleko jeszcze?

- Jakieś dziesięć kilometrów.

- Tej jednej rzeczy nie lubię w sytuacji lekarza na odludziu: pędzisz na złamanie karku i nie wiesz, co zastaniesz na miejscu.

- Każda sytuacja ma swoje plusy i minusy.

- Ja to rozumiem, Jack, ale od strony medycznej nie mogę wówczas zrobić

wszystkiego, co można by zrobić. Jest wszędzie tak daleko.

- No tak, trzeba więcej główkować. Poza tym to jest tak, że w każdej sytuacji określają nas dotychczasowe doświadczenia. Dla mnie na przykład praca w Londynie była bardziej stresująca.

- Naprawdę? - zdziwiła się Darcie.

- Tak. To wspaniałe miasto z wielowiekową historią, ale ja czułem się tam tak samo osamotniony i zagubiony jak pewnie ty tutaj. Jesteśmy tylko ludźmi, pani doktor.

Spojrzeni na siebie. W jego oczach Darcie dostrzegła ciepło i coś w rodzaju porozumienia. Serce jej podskoczyło. Widać mimo wszelkich różnic coś ich łączy.

Po kilku minutach dotarli na miejsce. Zaczęli się wypakowywać. Jack rzucił Darcie jaskrawożółtą kurtkę.

- Znajdźmy tu jakiegoś kierownika - zaproponowała.

- To mi wygląda na coś w rodzaju biura. - Jack wskazał barak z prefabrykatów.

Gdy weszli, zza biurka podniósł się niewysoki mężczyzna.

- Blake Meadows - przedstawił się. - Jestem kierownikiem planu. A państwo to pewnie lekarze?

Pokrótkie opisał zaistniałą sytuację:

- Dwoje naszych młodych aktorów, Jessica i Lachlan, wpadło do studni. Jess zaczęła przy tym o wystający kawałek metalu.

- Pewnie krwawi?

- Tak, ale zatamowała sobie krew kawałkiem koszuli. Lachlan miał mniej szczęścia. - Blake Meadows skrzywił się. - Jess mówi, że upadł na coś twardego, pewnie kamień. Jest nieprzytomny. To straszne. Jeśli ta wiadomość przedostanie się do mediów, nasza firma będzie miała kłopoty.

- Ci młodzi ludzie już je mają - zauważył Jack cierpko. - Może nas pan zaprowadzić do tej studni? Pewnie sami niewiele zdziałamy. Poczekamy na ekipę stanowych służb ratowniczych.

- Powinni zaraz być - odparł Blake. - Jestem mile zaskoczony, że tak szybko się zjawiliście.

Przynajmniej ktoś nas docenił, pomyślała Darcie, gdy w niemiłosiernie trzęsącej się na wybojach terenówce jechali w rejon wypadku.

Ku ich zdumieniu Mal Duffy był już na miejscu. Wyjaśnił, że zna drogę na skróty i przedstawił swoich partnerów ze służb ochotniczych, Roda i Geza.

Nie tracąc czasu, policjanci ustawili już nad studnią konstrukcję przypominającą

trójnóg.

- Mamy jakieś latarki czołowe? - spytał Jack. - Tam w środku może być zupełnie ciemno.

- Niestety nie mamy ich w wyposażeniu - przeproszał Mal. - Ale ustawimy potężne lampy, które dają dużo światła. To najlepsze, co możemy zrobić.

- Wpiszcie jak najszybciej latarki czołowe na listę zakupów - poradził Jack.

- Już się robi, doktorze. I przepraszam.

- Czy zawiadomiono pogotowie lotnicze? - spytał Jack.

- Tak, helikopter jest w drodze. Mają lądowisko dziesięć kilometrów stąd, zaraz będą.

Jack zacisnął wargi. Teoretycznie wszystko szło jak z płatka, ale doświadczenie nauczyło go, że praktyka lubi odbiegać od teorii. Zawsze może wydarzyć się coś nieoczekiwanego.

Darcie przygotowywała się duchowo do akcji, obserwując ochotników.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jack, patrząc z troską.

- W porządku. Zakładam, że usiądziemy na tym bloczku i spuszczą nas na sznurach w dół?

- Będziemy zabezpieczeni specjalnymi uprzężami - odparł Jack. - Ja zejść jako pierwszy, a potem ochotnicy wyciągną linę i spuszczą ciebie. Zobacz, już są gotowi.

Po chwili Darcie zjeżdżała na linie w głąb studni. Zgodnie z przewidywaniami Jacka było tu ciemno i okropnie śmierdziało.

- Jack?

- Tu jestem.

Starali się zlokalizować rannych. Po chwili Darcie usłyszała stłumiony jęk dziewczyny.

- Ja się zajmę Jessicą - zaproponowała.

- Dobrze, dzięki. Ja sprawdzę, co z Lachlanem.

Darcie przykucnęła obok rannej dziewczyny.

- Cześć, Jess - powiedziała łagodnie. - Mam na imię Darcy, jestem lekarką. Możesz mi powiedzieć, gdzie się uderzyłaś?

- W ramię. Boże, tak się bałam. - Kobieta szczykała zębami.

- Widzę, że jest ci zimno. - Darcy wyjęła z pakietu ratunkowego koc i otuliła pacjentkę. - Uderzyłaś się też w głowę? - spytała, badając równocześnie reakcje neurologiczne dziewczyny.

- Nie, jestem kaskaderką. Ćwiczyłam bezpieczne upadki. Ale Lachlan... chyba się okropnie potłukł. - Zacisnęła powieki. - Proszę cię... - wyszeptała - zabierz nas

stąd.

Darcie wyczuła, że dziewczyna jest u kresu, choć usiłuje być dzielna. Jej puls i odruchy neurologiczne były w porządku. Po prostu musiała wydobyć się z tej piekielnej dziury, zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Chwileczkę, muszę jeszcze obejrzeć twoje ramię, Jess.

Delikatnie oderwała zakrwawioną koszulkę i zacisnęła wargi. Rana wyglądała dramatycznie. Olbrzymie rozcięcie, do tego obrzęk i potężne zasinienie. Ciągłe krwawiła. Na szczęście tętnica pozostała nienaruszona.

Okej. Darcie zebrała się w sobie. Poczowała, że musi wykazać się inicjatywą. Wzięła dziewczynę za zdrowe ramię i powiedziała:

- Jess, na górze czekają przeszkoleni ludzie. Dam im znak i ktoś zjedzie z dodatkową uprzężą dla ciebie. Wyjedziesz na powierzchnię, zajmą się tobą ratownicy. A potem ja wyjadę i jeszcze raz cię zbadam. Okej?

Jessica skinęła głową.

- Czuję, jak ta rana pulsuje...

- Zaraz coś z tym zrobimy. Jak się czujesz ogólnie? Masz mdłości?

- Trochę...

- Dam ci coś na powstrzymanie ich. Jesteś bardzo dzielna, Jess - dodała Darcie, robiąc zastrzyk przeciwbólowy i przeciwwymiotny. - A teraz na górę.

Cała akcja przebiegła błyskawicznie.

Po wyekspediowaniu Jessiki Darcie skupiła się na pomocy Jackowi.

- Co z Lachlanem? - zapytała.

- Chyba poważne obrażenia w obrębie czaszki, ale do stwierdzenia potrzebny rezonans magnetyczny. Brzuch miękki, można go obwiązać liną.

- Coś mi się wydaje, że odzyskuje przytomność - stwierdziła Darcie z ulgą.

- Okej, Lachlan - przemawiał do chorego Jack. - Wpadłeś do studni i paskudnie się potłukłeś, kolego. Ja się nazywam Jack, a to jest Darcie. Jesteśmy lekarzami.

Lachlan wciągnął powietrze z głośnym sykiem.

- Noga... - jęknął. - Okropnie boli.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę, przyjacielu. - Jack nakładał młodemu człowiekowi maskę tlenową. - Darcie, przygotuj mi, proszę, zastrzyk z morfiny i maksolonu. Musimy mu ulżyć. Jak się trochę ustabilizuje, damy petydynę. Dzięki temu będzie go można przetransportować do szpitala. Zaczniemy mu już zakładać szyny - dodał, gdy zrobił zastrzyk. - Im szybciej się go stąd wydobędzie, tym lepiej.

Darcie uważnie obserwowała zmiany w stanie Lachlana. Jack w tym czasie umieszczał szyny u nóg młodzieńca.

- Podać bandaż?

- Takie solidniejsze, poproszę - potwierdził Jack.

- To się nie powinno było wydarzyć, prawda? - mówiła, obwiązując chorą nogę rannego.

- Widać szczególnie przejmowali się wyborem miejsca do zdjęć - stwierdził Jack szorstko. - Myślę, że powinienem porozmawiać o tym z urzędem do spraw bezpieczeństwa pracy.

- Doniesiesz na nich? - zaniepokoiła się Darcie.

- To po prostu mój obowiązek. Zrób mu zastrzyk, a ja zawołam, żeby spuścili nosze.

Gdy straciła Jacka z pola widzenia, ogarnęła ją klaustrofobia. Słuch się jej wyostrzył, zaczęła mieć omamy - wydawało się jej, że jakiś listek upadł jej na ramię. Wzdrygnęła się. Żołądek związał się w ciasny supeł. Nerwy. Tak, dno studni to okropne miejsce.

Postanowiła zebrać się do kupy. Nie może sobie pozwolić na rozprężenie. Ma pod opieką pacjenta, jego życie zależy od jej opanowania. Nagle zamarła. Stan Lachlana pogorszył się gwałtownie. Zaczął się krztusić, przewracać oczami, zrobił się popielatoszary.

- Jack! - krzyknęła, zaczynając masaż serca.

- Co się stało?

- Zatrzymanie krążenia!

Potrzebna była natychmiastowa intubacja. Jack gorączkowo szukał odpowiedniego sprzętu, klnąc pod nosem. Potrzebował więcej światła. Wiedział, że znikąd go nie dostanie. Musi działać po omacku.

Powoli wprowadził rurkę do tchawicy pacjenta. Podłączył aparat tlenowy.

- Oddychaj, Lachlan, proszę cię, zrób to dla mnie.

Sprawdził puls na szyi chorego. Nic.

- Musimy defibrylować. Nie wolno nam go stracić. Liczę na ciebie, Darcie!

Spoważniała. Serce tłukło jej się w piersi, a echo jego uderzeń zdawało się odbijać od ścian studni. Była oszołomiona. Pot spływał jej po czole i karku.

- Jack, szybciej!

- Co za koszmar - wycedził Jack przez zęby. - Bądź gotowa - rzucił.

Poczuła nagły przypływ sił. Wiedziała, że to, czy Lachlan się kiedykolwiek obudzi, zależy teraz wyłącznie od nich dwojga, od ich współpracy.

Jack przykładał elektrody, ona obsługiwała urządzenie.

- No i co, Jack?

- Nic. Nastaw na dwieście. Już!

Trzymała nerwy na wodzy. Jedynie strużka potu między piersiami wskazywała, że jest poruszona.

- Zaczynj znów masaż, Darcie - polecił Jack. - Ja mu wstrzyknę adrenalinę.

Pokiwała w milczeniu głową.

Jack zacisnął wargi, palcami objął ciśnieniową strzykawkę z ratującym życie lekiem. Skierował igłę pomiędzy żebra Lachlana, wprost w jego serce.

- Postaraj się, kochany.

Wstrzyknął zawartość i czekał.

Odpowiadała mu martwa cisza.

Po chwili jednak zapis na monitorze drgnął, a urządzenie pomiarowe zaczęło wydawać urywany, z czasem coraz bardziej rytmiczny dźwięk.

- Tak... - wyszeptał Jack z tłumioną ulgą w głosie.

- Co za szczęście... - Darcie podniosła nadgarstki do oczu, by powstrzymać łzy. Nie wolno się jej rozkleić.

Czy to Jack objął ją ramieniem?

- Hej, mała...

- Ze mną wszystko okej...

- Przecież widzę. - Objął ją ramionami i przytrzymał przez chwilę. Pozwoliła mu na to.

Czuła ciepło jego ciała, czerpała z niego energię i spokój. Potrzebowała tej bliskości, i ta potrzeba rosła w niej w sposób niekontrolowany. Gdy się w końcu zorientowała, wyrwała się dość gwałtownie. Co ona sobie, u licha, ubzdurała?

Lachlan powoli odzyskiwał przytomność. Oczy miał zasnutę mgłą, były w nich strach i zakłopotanie.

- Już w porządku, Lach. Wszystko będzie dobrze. - Darcie pochwyciła jego dłoń i ścisnęła delikatnie. To był jej sposób na pozbycie się również własnego strachu i zakłopotania.

Jack przełknął ślinę, pozbywając się pokaźnej guli w gardle. Czuł się jak po ciosie w splot słoneczny. Trzymanie Darcie w ramionach bardzo mu odpowiadało. Więcej - omal jej nie pocałował. Miał ogromną ochotę na dotknięcie ustami tych pięknych warg. Całować, całować. Idiota.

- A teraz chyba niewielka dawka midazolamu. Co pani na to, doktor Drummond? - spytał, gdy udało mu się opanować swój płytki i urywany oddech.

- Jestem za. - Skinęła głową zadowolona, że ich relacje powróciły na płaszczyznę zawodową. Midazolam pozwoli Lachlanowi łagodniej wyjść z traumy i znieść

cierpienia następnych godzin. – Zrobisz ten zastrzyk, Jack?

Zacisnęła ręce na przeponie brzusznej. Czuła się kompletnie wypalona.

– Świetna robota, ludziska. – Zach Bayliss wynurzył się z cienia. – A mało brakowało, żeby wszystko skończyło się inaczej, prawda?

Darcie czuła się jak po powrocie z piekła.

– Możecie go już zabrać, Zach – powiedziała. – Unormowaliśmy mu rytm serca, ale musi być pod kontrolą.

– Jasne, doktorko. – Zach był doświadczonym ratownikiem. Dobrze rozumiał, jaka bitwa się tu rozegrała. I że na razie zakończyła się zwycięstwem. – Dajmy temu młodzieńcowi wrócić na właściwą drogę. Pomożesz mi, Jack?

Obaj sprawnie przytroczyli chorego do noszy, które zostały wyciągnięte na górę.

Gdy Lachlan został już bezpiecznie umieszczony w karetkce, ekipa ratunkowa naradzała się przez chwilę. Zdecydowali, że obrażenia Jess mogą być z powodzeniem leczone w szpitalu w Sunday Creek.

– A gdzie przetransportować Lachlana, Jack? – spytał Zach, rzucając ostatnie spojrzenie w głąb karetki.

– Najlepiej byłoby do Brisbane – odrzekł Jack, wybierając numer w komórce. – Uprzedzę Nicka Cavello, on jest tam ordynatorem urazówki. Przygotuje wszystko.

– Helikopter wylądował na Pelican Springs – zameldował Mal Duffy, zbliżając się do grupy.

– No to się zbieramy – powiedział Zach. – Na pewno dacie radę zabrać Jess? – spytał Jacka i Darcie.

– Tak, już ją usadziłam z tyłu – odrzekła Darcie. – Opiekujcie się Lachlanem!

– Już się robi! – Zach usiadł za kierownicą karetki. – Dziękuję wszystkim.

Zapalił silnik i po chwili karetka zaczęła przedzierać się przez porośnięty buszem teren.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Odpręż się, Jess - powiedziała Darcie, gdy ruszyli w drogę powrotną do Sunday Creek. - Zaraz umieścimy cię w bardziej komfortowych warunkach.

- Będę się starał omijać wertepy - zażartował Jack, a Jess nawet się lekko uśmiechnęła. - Tak trzymaj, dzieciaku. Jesteś bardzo dzielna.

Dalsza jazda odbyła się w niemal całkowitym milczeniu. Wszyscy byli pogrążeni we własnych myślach. Gdy zbliżali się do miasteczka, Jack powiedział:

- Ty masz dziś wolne, Darcie. Ja zajmę się Jess, jeśli chcesz.

- Nie ma takiej potrzeby. Jess jest moją pacjentką i chcę ją prowadzić dalej.

- Dobrze. - Zmarszczył brwi i rzucił jej szybkie spojrzenie. - W swoim czasie sformułujemy wspólny raport.

Jasne. Bez raportu ani rusz. Ale czy będzie w nim uwzględnione to, co wydarzyło się między nimi w tej okropnej jamie...

Dojechali do szpitala. Jack zaparkował w zatoczce dla karettek. Dan Prentice, dyżurujący tego dnia noszowy, czekał przy drzwiach z wózkiem. Jessica bez przeszkód została odtransportowana na oddział.

- O, jesteście. - Natalie zjawiała się prawie natychmiast.

- To jest Jess. - Darcie przedstawiła młodą pacjentkę. - Nat, możesz ją zawieźć do zabiegowego? Ja tylko wezmę szybki prysznic i jestem z powrotem. Muszę jej założyć szwy.

Prysznic był naprawdę błyskawiczny. Perfekcyjną koordynację działań Darcie miała w małym palcu. Natalie przygotowała chorą do zabiegu. Darcie z zadowoleniem stwierdziła, że Jessica jest trochę bardziej zrelaksowana.

- Małe ukłucie, Jess - uprzedziła ją przed wstrzyknięciem środka przeciwbólowego. - Jak u ciebie z tężcem?

- Zostałam zaszczepiona przed rozpoczęciem zdjęć.

- Świetnie. W ten sposób zaoszczędziłaś sobie jednego wkłucia. Nat, przemyj, proszę, ranę solą fizjologiczną. A ty, Jess, odpręż się. Mała drzemka ci teraz nie zaszkodzi.

Darcie zszywała ranę z niesamowita wprawą.

- Dobra jesteś - mruknęła Natalie z uznaniem.

- Tak? - Darcie roześmiała się. - A ja zawsze tylko słyszałam, że jestem bardzo powolna.

- Zakładanie szwów to sztuka. Jak zresztą cała medycyna. Przynajmniej tak

powinno być – podsumowała pielęgniarka.

– Oby... – Ukończyła zabieg i zdjęła gumowe rękawice. Natalie zakładała opatrunek.

– Och... – Jessica półprzytomnie zatrzepotała rzęsami. – To już koniec?

– Doktor Drummond wykonała kawał dobrej koronkowej roboty – zachichotała Natalie.

– Dziękuję. Pani była taka delikatna, prawie nic nie bolało. – Dziewczyna otarła łzę z policzka.

Darcie przysunęła sobie stołek i usiadła przy pacjentce. Biedna mała, tyle musiała przejść...

– Posłuchaj, Jessica. Nie myśl teraz o niczym. Musisz odpocząć, rozumiesz?

– Dobrze. – Chora przygryzła wargę.

– Zostaniesz tu do jutra. – A może i dłużej, dodała Darcie w myślach. Mogą się jeszcze ujawnić inne skutki upadku. – Mam kogoś zawiadomić w twoim imieniu? Rodziców, przyjaciół?

– Rodzice mieszkają w Sydney, nie ma co ich niepokoić. Sama im powiem, jak już będzie po wszystkim. Mama pewnie natychmiast by tu przyleciała i chciała mnie pielęgnować. – Uśmiechnęła się. – A gdzie jest Lachlan?

– W Brisbane, w szpitalu Royal. Doktor Cassidy go tam skierował. Na pewno będą jeszcze dziś jakieś wiadomości, wszystko ci przekażę. A teraz Nat położy cię na oddziale, a ja wpadnę później zobaczyć, jak się czujesz.

– Ja już tam nie wrócę – oświadczyła Jess, stanowczo potrząsając głową. – Niech sobie wsadzą gdzieś taką robotę.

Darcie pomyślała, że dziewczyna nie powinna podejmować takich decyzji w stanie szoku pourazowego. Oczywiście, sprawę warunków jej zatrudnienia trzeba będzie omówić, ale nie teraz. Zebrała papiery.

– Kiedy znieczulenie przestanie działać, ramię może cię boleć. Przepiszę ci środki przeciwbólowe.

– I nie krępuj się – dodała Natalie z uśmiechem. – Jak będziesz czegoś potrzebować, krzycz ile sił w płucach.

Jack postanowił zrobić porządek w swej podręcznej torbie ze sprzętem ratunkowym. Zataszczył ją do magazynu, wymienił zużyte rzeczy na nowe. Był już gotów do następnej akcji.

Prawdę mówiąc, nie należało to do jego obowiązków. Ale szpital w Sunday Creek to tak mała placówka, że każdy powinien maksymalnie przykładać się do czynności

wszelkiego rodzaju. Poza tym bycie szefem z za biurka zawsze wydawało mu się żalodne. Chciał robić to, co robią wszyscy jego pracownicy. Tu mógł zrealizować ten ideał. W stu procentach.

Potem poszedł do domu, wziął prysznic i powrócił do szpitala na obchód. Przy czterech zaledwie pacjentach nie zajął mu on wiele czasu. Odniósł dokumentację chorych do recepcji, spojrzął na zegarek i skierował się do zabiegowego.

- Szukasz mnie? - usłyszał.

- Darcie... - Zamrugął zdziwiony. Stała tam w jasnoniebieskim fartuchu. Włosy miała związane w ciasny węzeł, twarz bez śladu makijażu. Wyglądała... zdrowo, naturalnie. I cudownie. Nakazał swojemu pulsowi zwolnienie tempa.

- Myślałem, że może... trzeba ci pomóc.

- Nie, już skończyłam. - Uśmiechnęła się z rezerwą. - Umieściliśmy Jess w tej małej salce z werandą. Tam jest cicho i spokojnie. Może się nareszcie trochę prześpi bez wspomagania.

- Świetnie. - Skinął głową aprobująco. - Właśnie chciałem wyjść coś zjeść. Może ze mną pójdziesz?

- Chętnie. Oddałabym teraz królestwo za herbatę.

- Ależ pani potrzebuje czegoś o wiele bardziej konkretnego, doktor Drummond - prychnął, wyciągając do niej rękę. - Chodź, przeszukamy szpitalną kuchnię. Może zostały jakieś resztki ze śniadania.

Chwilę później wcinali jajecznicę na bekonie przygotowaną przez Carole, szpitalną kucharkę z wieloletnim stażem.

- Może jeszcze grzanekę, państwo doktorzy? - spytała Carole przez okienko do wydawania potraw. - Zrobiłam ich całą stertę.

- Dzięki, Carole, jesteś wspaniała. - Darcie uśmiechnęła się do starszej kobiety i wstała od stołu.

- Ja przyniosę, ty skończ jeść - zaofiarował się Jack, zrywając się na nogi.

Później, gdy siedzieli razem nad kubkami z gorącą herbatą, Darcie powiedziała:

- Mogłaby spać bez przerwy przez cały tydzień.

- To dlaczego tego nie zrobisz? Przynajmniej do końca dzisiejszego dnia - zaproponował, dostrzegając cienie pod jej oczami. - O ile dobrze pamiętam, dałem ci wolny weekend, a ty go nie wykorzystałaś w całości.

- Obiecałam Jess, że do niej później zajrzę.

- Myślę, że jestem w stanie zrobić to za ciebie. - Uśmiechnął się żartobliwie. - Idź do domu, połóż się, Darcie.

- Mówiłeś coś o raporcie.

- To może poczekać.

- Wolałabym mieć to za sobą - sprzeciwiła się i stwierdziła, że serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

Zapadła cisza.

Jack odetchnął głęboko. Nie potrzeba szczególnie wielkiej mądrości, by zrozumieć, co jest grane. Ona ma poczucie winy z powodu tego, co się wydarzyło na dnie studni. A przecież cała odpowiedzialność za to powinna spadać na niego, nie na nią. Nie ulega wątpliwości, że był o krok, by ją pocałować. I że ona była tym podekscytowana. Teraz też prawie czuł przyspieszone bicie jej serca pod cienkim płótnem lekarskiego fartucha.

A przecież jest jej szefem. To ważna okoliczność. Dodatkowo razem pracują i - praktycznie - razem mieszkają. Sytuacja kłopotliwa, w której jednak nie ma miejsca na niedomówienia. Postanowił wszystko wyjaśnić.

- To, co się stało, było normalną reakcją w sytuacji napięcia. W końcu, do cholery, ratowaliśmy czyjeś życie.

- Tak mi się... wydawało - mruknęła i zagryzła wargi.

- Darcie, to był tylko uścisk.

Ma w to uwierzyć?

- Nie mam zwyczaju pozwalając sobie na takie zachowania w kontakcie... z przełożonym - odcięła się, dumnie unosząc głowę.

- Bo też, jak sądzę, nie co dzień trafia ci się akcja ratownicza w głębi śmierdzącej nory, prawda?

- Zgadza się. - Jej uśmiech przypominał grymas.

Aha, więc zdecydował się na odwrócenie kota ogonem, by ratować jej dobre samopoczucie. No cóż, skoro tak zamierza to rozegrać... Ale musi wiedzieć, że to ona do niego przylgnęła, a on w odpowiedzi mocniej ją przytulił. Sprawę trzeba postawić jasno. Ale teraz to już jego zadanie.

Jack objął dłonią kubek.

- Gdybyśmy wygrali coś na loterii i ja odruchowo bym cię przytulił z radości, chyba nie widziałabyś w tym nic niestosownego, prawda?

Zabrakło jej tchu, policzki się zaróżowiły. Bo przecież nic nie wygrali na loterii i to było przytulenie zgoła innego rodzaju. Oboje dobrze to wiedzieli.

Nie potrafiła odpowiedzieć. Wzruszyła tylko ramionami. Niech już Jack robi z tym, co chce. To jego broszka.

Spała jak zabita do późnego popołudnia. Gdy się obudziła, sprawdziła telefon.

Znalazła wiadomość od Maggie. Szybko oddzwoniła.

- Cześć, co się stało?

- Możesz dziś wieczorem wpaść na grilla?

- Pewnie tak. A co, jakaś specjalna okazja?

- Bo ja wiem? - Maggie roześmiała się z widocznym przymusem. - Zaprosiłam Sama Gibsona.

- Tego nowego weterynarza?

- Tak. Chyba coś u mnie nie w porządku z głową, skoro robię takie rzeczy.

Darcie poprawiła poduszkę i ułożyła się wygodnie. Maggie była zazwyczaj bardzo surowa i odpowiedzialna, a tym razem trajkotała jak nastolatka.

- Coś jest między tobą a Samem? - spytała Darcie.

- Był u mnie parę razy na kawie.

- Jak się poznaliście?

- Musieliśmy zaprowadzić naszego Staffy'ego na zastrzyk. Tak się wszystko zaczęło. Wczoraj wziął moich chłopców na wycieczkę rowerową, więc pomyślałam, żeby mu się odwdzięczyć zaproszeniem na jakiegoś grilla. To nie jest zobowiązujące, ale ja się i tak czuję trochę dziwnie.

- Chcesz, żebym była kimś w rodzaju przyzwoitki? - zachichotała Darcie.

- Nie, chcę mieć przy sobie bratnią duszę! Trochę zdążyłam się odzwyczaić od takich spraw, Darc.

- Co za bzdury! Zrelaksuj się, ciesz, że spotkałaś kogoś na swojej drodze. Poflirtuj trochę.

- Flirt?! - zaskrzeczała Maggie. - Przypomnij mi łaskawie, co to takiego? Pamiętam tylko jak przez mgłę, że przy tym trzeba trzepotać rzęsami. A jak to zrobię, będę wyglądać na babę, która zgłupiała do reszty.

- Przestań, daj się ponieść. Jeśli Sam zaproponuje ci randkę, to się zgódź.

- I kto to mówi? Przecież ty się z nikim nie spotykasz.

- Ja już się w życiu narandkowałam - broniła się Darcie.

- Kiedy? Pewnie tak dawno, że nawet nie pamiętasz.

- Nieprawda. Całkiem niedawno spotkałam się z jednym z latających doktorów.

- Z Bradem Kitto? - zlekceważyła ją Maggie. - Przyleciał i odleciał? Miły facecik, ale to przecież Kanadyjczyk. Przyjechał tylko na trzymiesięczną wymianę. Z góry było wiadomo, że do niczego nie dojdzie.

- Okej, okej, przestań już. - Darcie poczuła się głupio. Nie życzyła sobie, by ktokolwiek prowadził śledztwo w sprawie jej randkowych zwyczajów. A już najmniej Maggie. - Przypominam ci, że rozmawiamy o twoim życiu miłosnym, nie o moim.

- Dobra, wszystko jasne. Przyjdiesz?

- Oczywiście. - Darcie westchnęła demonstracyjnie.

- Aha, i weź z sobą tego wielkoluda.

- Jacka? - Darcie nagle poczuła suchość w ustach.

- Powinien się trochę zakolegować z miejscowymi, nie? Ja go nawet jeszcze nie miałam okazji poznać.

Darcie z trudem przełknęła ślinę. Musi mieć nadzieję, że oboje z Jackiem będą się dobrze czuć w swoim towarzystwie. Możliwe, że w otoczeniu kilkorga miłych ludzi będzie to łatwiejsze. Jeżeli oczywiście on się zgodzi.

- Zapytam go - odparła - ale on na pewno będzie bardzo zmęczony. O piątej rano zostaliśmy wezwani do akcji ratunkowej, a on od tej pory cały czas jest w szpitalu.

- Hm, tak, słyszałam o tej akcji od Karen Bayliss. A tak przy okazji, zaprosiłam także ją. I Zacha.

- Świetnie, to taka fajna para. Może zrobię ciasto?

- Mogłabyś, Darce? Ja już nie zdążę. Prawie cały dzień strawiłam na tym, żeby moje włosy nie wyglądały jak słomiana miotła.

- To może przyjdę już koło piątej, pomogę ci?

Darcie roześmiała się cicho. Podejście Maggie do wielu rzeczy zazwyczaj wprawiało ją w dobry humor.

- Dzięki. I zaprosz Jacka - przypomniała jeszcze raz Maggie, zanim odłożyła słuchawkę.

- Jasne. O której? - Jack bez ceregieli przyjął zaproszenie.

- Ja idę około piątej. To dla ciebie pewnie za wcześnie? - spytała niepewnie, widząc, że Jack nad czymś się zastanawia.

- Może trochę. Przyjdę odrobinę później. Daj mi adres.

Gdy tylko zapisał sobie podaną informację, szybko opuścił kuchnię. Zupełnie jakby chciał co prędzej znaleźć się z dala od niej. Unika jej czy sytuacji, w której oboje niechcący się znaleźli? Pewnie to drugie.

Sprzątając kuchnię z resztek mąki, cmoknęła zniecierpliwiona. To jej wina, że czuje się nieswojo. Powinna brać wszystko na spokojnie. Przyjąć po prostu, że w trakcie ratowania czyjegoś życia skacze ludziom adrenalina i robią różne rzeczy. Ale jakoś nie potrafiła podejść do tego w ten sposób.

Jack wrócił do sypialni. Nie cierpiał tego... dystansu, jaki się między nimi wytworzył. Ale też nie miał teraz ochoty na bratanie się z kimkolwiek. Najchętniej

poszedłby spać. Ale cóż, musi się pokazać. To część jego pracy – musi poznać ludzi.

Nie zdejmując butów, położył się na patchworkowej narzucie i gapił w sufit.

Darcie Drummond. Zalazła mu za skórę, co? Wybuchnął ironicznym śmiechem. Może trzeba było ją po prostu pocałować i byłoby po sprawie? Akurat. To dopiero zabagniłoby sytuację.

Przycisnęła powieki palcami. Musi się rozchmurzyć, zrelaksować.

Do domu Maggie dotarł wczesnym wieczorem. Gwar rozmów mieszał się z wybuchami śmiechu. Cudowny zapach mięsa z rożna powodował, że do ust napływała ślinka. Bez trudu trafił na tyły domu, gdzie odbywała się impreza.

Maggie dojrzała go, jak tylko wychynął zza drewnianego parawanu. Uśmiechnęła się i podeszła.

– Jack, jak sądzę? – Przewróciła oczami w żartobliwym uśmiechu. – Ja jestem Maggie. Chodź, poznasz resztę.

Przedstawiła Jacka Samowi Gibsonowi, który pełnił honory pana domu przy grillu.

– Witami w Sunday Creek, doktorze. Ja też jestem tu nowy. Lekarz od zwierząt – przedstawił się Sam, mocno ściskając dłoń Jacka.

– A więc poniekąd gramy w tej samej drużynie – śmiał się Jack.

– Tyle że na innych instrumentach – ironizował Sam, powodując kolejny wybuch śmiechu Jacka.

Wieczór zapowiadał się przyjemnie.

– Zacha już oczywiście znasz. – Maggie sumiennie pełniła obowiązki gospodyni. – A to Karen, jego żona.

– Hej. – Karen Bayliss przyjaźnie pomachała ręką. – A to nasza córka, Molly – dodała, z dumą prezentując oparte o jej biodro niemowlę.

– Ile ma? – Jack przejechał opuszką palca po ramieniu dziecka.

– Dziesięć miesięcy.

Jack uśmiechnął się, bo maleństwo spojrzało na niego jakoś tak wyniośle. Poczul lekki ucisk w trzewiach. Gdyby sprawy między nim a Zoe ułożyły się inaczej, też mógłby być teraz ojcem. Najwyższy czas, trzeba to sobie powiedzieć otwarcie. Ma już przecież trzydzieści siedem lat. Trochę czasu jeszcze przed nim jest. Na pewno zdąży znaleźć odpowiednią kobietę i mieć z nią dziecko. Potrząsnął głową, odrzucając niewygodne myśli.

– Patrzy na ciebie – zauważyła Karen.

– Tak, to prawdziwa księżniczka – mruknął Jack. – Szczęściarze z was, Karen.

– Wiemy o tym. – Karen posłała zakochane spojrzenie swojemu mężowi. – Już

prawie straciliśmy nadzieję, aż tu nagle ona się pojawiła. To dlatego nazwaliśmy ją Molly, to od *mollycoddle*, czyli upragniona, wypieszczona.

Nie wiadomo dlaczego Jacka zalała fala emocji. Jakby odezwały się dzwony prosto z piekieł. Na szczęście podeszła nieoceniona Maggie.

- Pozwól, to moi synowie, Josh i Ethan.

- Cześć, chłopaki. - Jack uściśnął obydwóm ręce. - Przed domem widziałem rowery terenowe. Jeździcie trochę?

- Taaa... Sam zabrał nas wczoraj w niesamowicie trudną trasę. Było genialnie.

- Ja tam wolę deskorolkę - wtrącił się młodszy, Ethan, zyskując w Jacku uważnego słuchacza.

- Też to lubiłem w waszym wieku. Macie tu skatepark?

Ethan patrzył na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- No mów. - Starszy brat dał mu kuksańca między zębra. - Jeździsz po takim specjalnym torze?

- Nie. - Młodszy zaczerwienił się. - Jeżdżę po asfaltowych alejkach w parku. Ale niektóre dzieciaki używają betonowego placu przed sklepem.

- A ty wiesz, że tobie nie wolno tam jeździć. To zabronione - odezwała się matka chłopców.

- Wiem, mam. - Ethan spojrzał na kobietę wzrokiem cierpiętnika.

- Zawsze trzeba przestrzegać reguł. - Jack z uśmiechem wsparł Maggie w jej rodzicielskiej roli.

Podziękowała mu, gdy obaj synowie oddalili się do swoich spraw.

- To wielkie wyzwanie. - Wskazała ich wzrokiem.

- Coś ty, Maggie, to wspaniałe dzieciaki. - Uniósł brwi. - Przyniosłem trochę wina. Gdzie mogę je zamelinować? W lodówce?

- Tak. - Maggie dopiero teraz zauważyła, że Jack trzyma pokaźnych rozmiarów torbę. - Przepraszam, że tak cię zagadałam. Kuchnia jest na wprost. Darcie tam urzęduje, pokaże ci co i jak. A potem chodź na taras.

Darcie ze spuszczoną głową krzątała się przy blacie kuchennym.

- Cześć - mruknęła na widok wchodzącego Jacka.

- Mam wino. Maggie mówi, że się nim zaopiekujesz.

- O-okej. - Od samego patrzenia na niego urosła jej gęła w gardle. Emocje ją dusiły.

Jack miał na sobie wypłowiałe dzinsy i białą koszulkę polo. Krótkie rękawy pozwalały podziwiać opalenizną ramion. Tych samych, które obejmowały ją tak troskliwie, z taką... czułością.

Zaczerpnięcie tchu prawie zabolalo. Spojrzała na jego usta i ogarnęło ją pożądanie. Wyobraziła sobie, jak go w nie całuje. Serce zaczęło tańczyć jej w piersi, oddech zamarł. Nigdy nie zdarzyło się jej tak gwałtownie pożądać mężczyzny. A przecież Jack to nie pierwszy z brzegu facet. To jej kolega, przełożony, szef. Z trudem przełknęła ślinę.

- Daj, upchnę tę butelkę w lodówce.

Utkwił w niej spojrzenie. W czarnym topie bez rękawów i zwiewnej, kołyszącej się wokół kostek spódnicy wyglądała jak chochlik, leśna zjawa. Miał ochotę przeskoczyć dzielący ich blat i porwać ją do szalonego tańca. A potem zbliżyć się do niej stopniowo. Tak by w końcu ich ciał nie dzieliło nic oprócz cienkiej warstewki powietrza. A w końcu...

Darcie zatrzasnęła lodówkę, odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Poznałeś już wszystkich? - spytała z uśmiechem, który zgasł, zanim zdążył się na dobre rozwinąć.

- Hmm... myślę że tak. Jakoś zdołam zapamiętać tych kilka twarzy.

- A może chcesz drinka? Maggie prosiła, żeby się wszyscy sami obsługiwali - oznajmiła Darcie, kończąc lukrowanie upieczonego przez siebie ciasta.

- Dzięki, może trochę później. Ciasto wygląda nieźle - stwierdził, nachylając się nad blatem. Na swoje nieszczęście poczuł lekki zapach szamponu do włosów Darcie.

- To taki mój mały wkład w dzisiejsze przyjęcie - odparła. - Kiedyś mieszkałam z mistrzynią cukiernictwa. Trochę się od niej nauczyłam - dokończyła.

- Więc ciasto czekoladowe to twój wypiek firmowy?

- Zgadza się.

Wygarnęła z miski na palcu odrobinę lukru, po czym przekazała Jackowi miskę jak zaproszenie do wylizania.

- Nie robiłem czegoś takiego, odkąd skończyłem sześć lat - rzekł ze śmiechem.

- A więc musisz nadrobić zaległości - zasugerowała, a on zachichotał.

- A ty pewnie zawsze gotowałaś i piekłaś razem z mamą? - zapytał.

- Moja matka nie umie gotować. Mieliśmy gosposię. - Darcie zaśmiała się trochę nieszczercze. - To z nią spędzałam mnóstwo czasu w kuchni. Moi rodzice są profesorami historii. Zawsze z nosem w książkach. Nawet chyba nie zauważyli, jak dorastałam - dodała z odrobiną żalu.

Gówniane dzieciństwo.

- Byłaś jedynaczką? - spytał Jack spokojnie.

- Uhm... - Wciągnęła powietrze i wypuściła je z sykiem. - Ale nie użalaj się nade

mną, Jack.

- Nie zamierzam - zapewnił ją nieco opryskliwie.

Spojrzeli na siebie. Darcie zlizwała językiem kropelkę lukru z dolnej wargi. Jack poczuł przykry ucisk w sercu. Przez jedną krótką chwilę najwyraźniej myśleli o tym samym. Takie gwałtowne, intensywne doznanie wspólnoty.

- Hej, wy tam! - zawołała Maggie i ich poczucie wspólnoty zgasło, jakby ktoś wyłączył światło.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W poniedziałkowy poranek grill był już tylko bardzo odległym wspomnieniem. Powróciła codzienność.

Jack oficjalnie przekazał dyżur, po czym wygodnie rozparł się na krześle, wyciągając nogi przed siebie.

- Jeśli to wszystko, zacznę obchód - zaproponowała Darcie, podnosząc się zza biurka.

- Poczekaj, jeszcze coś. Poleciałem doprowadzić do porządku i zdezynfekować naszą salkę operacyjną. Wiem, jest mała, ale niezłe wyposażona. Moglibyśmy samodzielnie wykonywać większość zabiegów w nagłych przypadkach. Nie trzeba byłoby wzywać „latających”. Zaoszczędzilibyśmy czas i pieniądze.

Zapadło milczenie.

- To ty jesteś chirurgiem. No i szefem. - Darcie spuściła wzrok, po czym podniosła go, by napotkać spojrzenie przenikliwie niebieskich oczu Jacka. - Decyzja należy do ciebie.

- Ale...? - spytał, wyczuwając brak pełnej aprobaty.

- Raczej nie mamy zaplecza do leczenia poważniejszych urazów.

Przewrócił oczami. Czy ona uważa go za nowicjusza w tej materii? Nerwowo postukiwał ołówkiem o blat biurka.

- Darcie, ja nie planuję przeszczepów serca. Miałem na myśli względnie standardowe procedury w przypadku średnio poważnych urazów.

Uderzyła ją czająca się w jego głosie arogancja.

- A co z usypianiem? - zauważyła chłodno. - Trochę się w tym orientuję, ale nie mam formalnych kwalifikacji.

- Będę ci dawał wskazówki.

Tak, ten facet najwyraźniej wyobraża sobie, że jest wszechwiedzący. Ale jej to nie uspokoiło.

- Ja po prostu nie chcę się bawić w Pana Boga. Nie wierzę, że jesteśmy w stanie poradzić sobie z każdym poważnym wypadkiem.

- Widzę, że niespecjalnie cenisz moje kierownictwo - zauważył obojętnie.

Potarła palcem miejsce między brwiami. Nie o to przecież chodzi. Widać źle się wyraziła. Ale rano obudziła się z bólem głowy, trudno było jej się skupić. Wszystko dlatego, że nie mogła przestać myśleć o swoich odczuciach dotyczących Jacka. Bardzo nie chciała, by sprawy osobiste zdominowały ich profesjonalny układ.

Westchnęła cicho. Czy to możliwe, że zaledwie wczoraj zrodził się między nimi rodzaj figlarniej zмовy, gdy jak dzieci wylizywali lukier z miski?

- Nie wyspałaś się. - Jack pokiwał głową, mrużąc powieki. Cienie pod jej oczami i ziemista cera raczej nie zostawiały pod tym względem wątpliwości.

Uniosła dumnie głowę. Nie będzie się mu tłumaczyć z tego, jak śpi. To nie jego interes.

- Możemy wrócić do tematu? - zaproponowała sztywno. - Byłam i jestem wielką zwolenniczką twojego zatrudnienia tutaj. Placówka potrzebuje starszego rangą specjalisty, a ty nim jesteś. I skoro ustalone wcześniej przeze mnie reguły ci nie odpowiadają, musisz dokonać zmian.

- Darcie, ja tylko usiłuję doprowadzić do tego, żeby ten szpital w pełni wykorzystywał swoje możliwości. I proszę cię o pomoc.

Potarł ręką szorstki policzek. Poczuł, że musi zapaść krople do oczu. Powieki piekły go, jakby miał pod nimi piasek. Bo on z pewnością się nie wyspał. Jego myśli całą noc błądziły wokół dziewczyny, która siedziała teraz po drugiej stronie biurka.

A ona nie wygląda na taką, która błądzi. Nie potrzebuje jego nadopiekuńczości. Nie musi mu nic zawdzięczać. Sama sobie radzi w życiu. Bardzo dobrze, a nawet lepiej. Okej. On musi skorygować, uściślić to, co powiedział.

- Darcie, jesteś mi tu potrzebna, bez ciebie nie dam rady. Musimy razem dokonać tych zmian, inaczej nic z tego nie wyjdzie, prawda?

Ta wypowiedziana łagodnym tonem prośba podziałała na nią kojąco. To, co mówił, miało sens. Nie mogą z sobą walczyć. Z zawodowego punktu widzenia są dwojgiem lekarzy na odludziu. Tylko od nich zależy funkcjonowanie placówki. Jeśli się nie dogadają, będzie musiała odejść. A tego by nie chciała.

Bo niby dokąd miałyby pójść?

- Wydaje mi się, że się siebie dopiero uczymy - powiedziała, walcząc z chrypą w głosie.

- No i od razu mieliśmy przed sobą poważne medyczne wyzwania - dodał Jack pojednawczo.

- Będę cię wspierać, Jack - zdecydowała, patrząc na niego z rezerwą.

- Dziękuję. - Odetchnął z ulgą.

Wszystko się ułoży, zdawał się obiecywać jego uśmiech. Mur między nimi nie ma racji bytu.

- Na jedenastą zwołałem zebranie personelu - oznajmił.

- Okej. - Darcie wstała. - Ja mam też być?

- Co za dziecinne pytanie? - Celowo zrobił przerwę. Patrzył jej w oczy. - Jasne!

Obecność obowiązkowa.

Kończąc obchód, wciąż czuła ciężar ostatnich słów Jacka. Jessicę zostawiła sobie na koniec.

- Jak się czujesz?

Dziewczyna podniosła głowę znad kolorowego magazynu, który akurat czytała.

- Już dużo lepiej, dziękuję.

- Nie da się ukryć. - Darcie się uśmiechnęła, bo Jessica nie leżała, lecz siedziała obok łóżka na krześle. Nie miała już na sobie szpitalnej koszuli, tylko piżamę w ostrym różowym kolorze.

- Wypuści mnie pani stąd, doktor Drummond?

- Zobaczę, co miał na ten temat do powiedzenia doktor Cassidy, dobrze?

Wzięła do ręki kartę pacjentki i przebiegła wzrokiem wpisy Jacka. Według niego Jess nie potrzebowała już leków przeciwbólowych. Miała prawidłowe odruchy neurologiczne i noc przespała bez środków nasennych.

- Zdrowiejesz zadziwiająco szybko, Jess - powiedziała, odwieszając kartę. - Myślę, że mogę cię wypisać.

- Już teraz? Super! - Jessica uśmiechnęła się promiennie i odłożyła czasopismo.

- A może najpierw porozmawiamy? - zaproponowała Darcie, przysiadając na brzegu łóżka. - Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić do swojej dotychczasowej pracy?

- Tak. - Jess lekko się skrzywiła. - Zresztą i tak jest już po wszystkim. Złożyłam wypowiedzenie i poprosiłam koleżankę, żeby mi tu przywiozła moje rzeczy.

- Nie będzie problemów? Miałaś umowę o pracę?

- Nie, to był krótkoterminowy kontrakt z możliwością wypowiedzenia przez obie strony. Równie dobrze oni mogli mnie szurnąć w każdej chwili - wyjaśniła Jessica.

- To bardzo niebezpieczna formuła.

- Co zrobić, taki biznes. - Jessica machnęła ręką. - Wisi mi to.

Darcie pomyślała o sobie, że chyba się zestarzała. Bo ona nie mogłaby tak funkcjonować.

- Masz jakieś plany? - zapytała.

- Prosiłam Maggie, żeby sprawdziła rozkład lotów z Sunday Creek. Okazało się, że jeden z tutejszych farmerów leci dziś po południu własnym samolotem na konferencję do Brisbane. Zaproponował, żebym się z nim zabrała. Polecę odwiedzić Lachlana w szpitalu, a potem udam się do domu, do Sydney. Poszukam nowej pracy. Wkrótce zaczynają się zdjęcia do kilku filmów. Porzysłałam swoje CV i jakoś pójdzie

- dokończyła z młodzieńczą wiarą w siebie.

- Rozumiem, że nie byłaś zadowolona ze współpracy z tą firmą, która kręciła program w Pelican Springs?

- Nie, oni za bardzo oszczędzali na bezpieczeństwie. - Jess nie owijała w bawełnę. - Nie podobało mi się to.

Darcie spojrzała z troską na pacjentkę. Czyli Jack miał rację. Ale co robić, skoro ludzie potrzebują pracy i godzą się na wszelkie warunki?

- A więc mogę wyjść? - upewniała się Jessica, z obawą patrząc na lekarkę.

- Tak, jeszcze tylko trzeba dopełnić kilku formalności. Napiszę notatkę do wiadomości twojego lekarza rodzinnego w Sydney. I dam receptę na antybiotyki, tak osłonowo. Szwy będzie ci można zdjąć za tydzień czy coś koło tego. I dam ci broszurkę wyjaśniającą, jak masz postępować z kolanem. To będzie kluczowe dla całkowitego wyleczenia. Nie zaniedbaj tego, dobrze?

- Jasne - obiecała Jessica. - Mama na pewno mnie przypilnuje. Od czego są mamy, no nie? - dorzuciła filozoficznym tonem, z lekka wzruszając ramionami.

- Właśnie od tego - zgodziła się Darcie z lekką zadumą i westchnęła cicho. - Okej, przygotuję dokumenty, a ty je odbierzesz w recepcji. Przed wyjściem spotkasz się jeszcze z Maggie. I życzę ci wszystkiego najlepszego, Jess.

- Dziękuję, doktor Drummond. - Jessica zerwała się z krzesła i zaczęła z zapalem zbierać rzeczy. - Dzięki za opiekę - dodała z uroczym uśmiechem.

- Cała przyjemność po mojej stronie. I mów mi Darcie. Wystarczająco dużo chyba razem przeszliśmy, żeby mówić sobie po imieniu?

- Fakt. - Dziewczyna pokiwała głową. - Nic mnie w życiu tak nie ucieszyło jak twój widok tam, na dnie studni. - Jess wzdrygnęła się. - Ale jakoś dałyśmy radę.

- Tak. I życzę ci, żebyś zawsze tak dawała radę - powiedziała, oddalając się. Przy drzwiach jednak przystanęła. - I jeszcze muszę ci powiedzieć, że mogą ci zostać niewielkie blizny na ramieniu. Ale kamera tego nie wychwyci.

- Mam to gdzieś! - Jess była szczęśliwa, że odzyskuje panowanie nad swoim losem. - Doktor Cassidy mówił, że wykonałaś wspaniałą robotę!

Dwa tygodnie później Darcie wstała w niedzielę wcześniej niż zazwyczaj. Okazało się jednak, że Jack był szybszy. Spotkała go w kuchni. Pił herbatę.

- Dzień dobry - mruknęła, nalewając sobie zaparzonego przez niego płynu.

- Wczoraj wieczorem zadzwoniła Louise Alderton - oznajmił Jack. - Zaprosiła nas na dziś do Willow Bend. Przyjąłem zaproszenie również w twoim imieniu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Czy mam rozumieć, że oboje mamy dzień wolny?

- Chyba zasłużyliśmy, nie uważasz?

- Ty na pewno - przyznała Darcie ucziwie. - Harujesz bez przerwy, odkąd tu jesteś.

Nie powinna tego mówić. On jest tu szefem. Nie jej go oceniać ani wnikać w jego motywacje. A już była o krok od zapytania, dlaczego to robi.

- Dzień w Willow Bend to dobry pomysł - powiedziała zamiast tego. - O której mamy u nich być?

- Jak najwcześniej. Max przygotowuje nam konie. Cieszysz się na przejażdżkę ze mną? - zapytał, wędrując wzrokiem w kierunku jej ust.

- Może być zabawnie - rzuciła lekko.

Gdyby jednak zerknęła teraz w lustro, dostrzegłaby rumieniec na twarzy i podszyte lękiem spojrzenie.

Po dziewiątej wyruszyli w kierunku Willow Bend.

- Tu są niesamowite kolory - dzieliła się Darcie swoimi spostrzeżeniami. - Krajobraz jest jakiś taki... autentyczny, czysty. I ten niezwykły spokój. Przestrzeń, bezkres. To wszystko zapiera mi dech w piersi.

- Nie tylko tobie - odrzekł Jack spokojnie.

Zastanawiał się, czy tym razem wspólny pobyt poza szpitalem pozwoli mu na lepsze poznanie Darcie. Bardzo by tego chciał. Ale nic na siłę. Musi się liczyć z tym, że do końca pozostaną jedynie kolegami z pracy.

Może właśnie dzisiejszy dzień o tym przesądzi?

- Osiodłałem dla was konie - oznajmił Max Alderton. - Mam nadzieję, Jack, że Hot Shot ci się spodoba. Jest dość energiczny.

Rozmawiali, siedząc na tarasie w ogrodowych fotelach i popijając przygotowaną przez Louise herbatę.

- Nie mogę się doczekać. Dawno już nie dosiadałem konia - przyznał Jack.

- Hot Shot dawniej brał udział w gonitwach - wtrąciła Louise. - Na płaskim terenie spokojnie możesz pozwolić mu się rozpędzić. Darcie pokaże ci nasze szlaki.

- A ja będę jak zwykle jechać na Jewel? - spytała Darcie, częstując się rogalikiem z dżemem.

- Jasne - uśmiechnęła się Louise. - Ona już za tobą tęskni. Nie było cię dłuższy czas.

- Miałam dużo pracy. Nie żeby Jack był jakimś poganiaczem niewolników, nic

z tych rzeczy. – Popatrzyła na niego i głos uwiązał jej w krtani. To niebieskie spojrzenie było aż nadto znaczące. Nagle poczuła lęk. Lęk przed tym, co może zająć między nimi.

Po porannej herbacie Darcie i Jack udali się do stajni. Dzień był piękny, niezbyt upalny, wiał lekki wiatr.

W taki dzień chce się żyć, pomyślał chwilę później Jack. Z uwielbieniem patrzył na Darcie, która z wdziękiem dosiadła klaczy. Elegancko trzymała się w siodle, a spod kultowego kapelusza marki Akubra włosy spływały jej bujną kaskadą na ramiona.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał, usiłując opanować swojego niesfornego ogiera.

Darcie wskazała ręką ażurowy szereg wierzb.

– Z Louise zazwyczaj przekraczamy tam strumień i kierujemy się na płaskowyż. Stamtąd jest niesamowity widok.

Jechali stępa.

– Podoba ci się? – spytała Darcie po chwili.

– To jest fantastyczne. – Sam nie mógł uwierzyć, że aż tak go to wszystko zachwyca.

– O, popatrz, Jack! – Darcie wskazała ręką stadko małych szarych kangurów. Zaniepokojone obecnością człowieka zwierzątka prawie unosiły się w powietrzu – tak szybko pędziły, by się schronić w zaroślach.

– Biedne głuptaski. – Jack pobudzony dobrym nastrojem ściągnął cugle. – Co powiesz na mały galop?

– Ja na to jak na lato! – zawołała Darcie, z entuzjazmem przyjmując wyzwanie.

W szybkim tempie minęli równinę i zaczęli się wznosić. W jakimś momencie Darcie dała sygnał, by się zatrzymać. Byli mniej więcej w połowie zbocza.

– Sam zobacz. No i jak?

Jack podziwiał szeroką dolinę z szemrzącym pośrodku strumieniem. W oddali widać było niewielkie wzgórze z posiadłością ich przyjaciół.

– Tak, to jest coś...

Potem z zamkniętymi oczami wdychał leśną woń tego rześkiego poranka. Smakował ją, niemal słyszał.

Patrząc na niego, Darcie westchnęła. Miała opory przed zakłócaniem komukolwiek takiej ściśle prywatnej chwili, a jednocześnie czuła się z nim całkowicie zespolona. Co się stało? Czy to w niej samej zaszła jakaś zmiana? I dlaczego właśnie dziś wszystko w nim podoba się jej nareszcie bez zastrzeżeń? Spojrzała na wschodni kraniec bezchmurnego nieba. Może dzięki temu rozjaśni się jej w głowie?

- Wracamy?

- Hm, no dobrze. - Jack przez chwilę mrugał oczami, jakby nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. - Może zatrzymamy się nad rzeczką, damy koniom odpocząć?

Zwierzęta zwinnie, pewnie i ostrożnie schodziły w dół. Jack popuścił wodze, by Hot Shot mógł sobie poskubać trawę. Darcie poszła za jego przykładem, choć bez przekonania. Bała się, że konie poniosą, ale Jack ją uspokoił. Zsiadł, podszedł do strumyka, nabrał pełną garść wody i zaczął pić łapczywie.

- Nie zatrujesz się? - Też zeskoczyła z siodła.

- Darcie, coś ty! - roześmiał się Jack. - Wylęgarnią zarazków może być tylko woda stojąca. A to jest strumień, w dodatku krystalicznie czysty. Spójrz tam dalej. To zielone to rukiew wodna. Rośnie tylko w środowisku, gdzie jest zero zanieczyszczeń.

- Skoro pan tak mówi, doktorze Cassidy...

- Spróbuj sama. - Patrzył, jak Darcie zanurza rękę w wodzie, a potem próbuje pić.

- Rzeczywiście, całkiem smaczna - orzekła z uznaniem.

- Całkiem? - przedrzeźniał Jack, naśladując jej angielski akcent. - Ona jest cudowna!

- Jasne, ty jesteś wyrocznią! - przekomarzała się. - Co ty wyprawiasz? - krzyknęła nagle ze śmiechem.

- Nic - odparł, pryskając na nią wodą ze strumienia.

- Ale głupek z ciebie! - piszczała, odpłacając mu pięknym za nadobne.

Po chwili wywiązała się między nimi regularna bitwa. Ochlapywali się nawzajem wodą jak małe dzieci.

- Dość! - zarządził w jakimś momencie Jack. Resztki amunicji wyciekały mu przez palce srebrzystymi strużkami.

- Jestem cała przemoczona - poskarżyła się Darcie. - I jest mi zimno.

- Biedna mała. Mam cię rozgrzać?

Nie czekając na odpowiedź, przyciągnął ją do siebie. Jego zamiar wydawał się oczywisty.

- Jack...?

- Darcie...? - Spojrzał na nią. Przemoczone kosmyki włosów wyglądały dość żałośnie, a ona sama tak bezbronne. I pociągająco.

- Czy naprawdę powinniśmy to robić? - Jej głos przeszedł w szept.

Odchrząknął lekceważąco.

- Myślałem już o tym i nie znalazłem argumentów przeciw - odpowiedział.

Serce Darcie biło jak szalone. Błękitne spojrzenie Jacka hipnotyzowało. Promienie

słoneczne grzały ją w plecy. Wszystko wokół było takie... rozleniwiające i omdlewająco słodkie.

Przyglądając mu się z bliska, dostrzegła ciemniejszy cień zarostu na policzkach, lekkie zasinienia pod oczami. Ta twarz wyrażała siłę i twardy charakter.

- Kochanie... - Jack objął jej twarz dłońmi. Jego pożądanie znalazło ujście w cichym westchnieniu tuż przed tym, jak jego wargi spoczęły na jej ustach. Pocałunek go zachwyił. Nigdy dotąd nie zaznał czegoś podobnego.

Darcie rozchyliła usta. Jej pragnienie wyszło naprzeciw jego tęsknocie, która zawiadnęła nim bez reszty, przypominając ciężki aromat czerwonego wina.

Przesunął dłonie na jej ramiona i przyciągnął ją do siebie. Przyłgnęła do niego. Pocałunek stawał się coraz bardziej dziki i dojmujący. Ogarnęła ją nieprzewyciężona chęć, by tak właśnie ją całowano, dotykano.

I żeby ten mężczyzna doprowadził ją do ekstazy.

Ale przecież nie można pozwolić, by sprawy zaszły aż tak daleko. Na pewno nie dziś. Jack też to najwidoczniej pojął, bo cofnął się lekko i powoli kończył pocałunek. Robił to delikatnie, a jego usta zostawiały po sobie słodki posmak przypominający babie lato.

Milczeli, dochodząc do siebie.

- Litości... - jęknęła potem Darcie, siadając na ziemi i podciągając kolana pod brodę. - Jak myślisz, co to miało być?

- Czy koniecznie trzeba to analizować? - Jack przysiadł obok. - Pocałowaliśmy się. Zanosilo się na to, odkąd się zobaczyliśmy - odparł lekko schrypniętym głosem.

Darcie westchnęła nerwowo.

- Przypuszczam... - zaczęła.

- Jeśli ci to w czymkolwiek pomoże, to mogę przyznać, że po prostu nie potrafiłem się powstrzymać.

Przykryła dłonią usta, jakby chciała się przed czymś bronić. Komórki nerwowe ciągle czuły ten pocałunek. Okej, rozumiała to, pocałowali się, wielka rzecz. Ale tym samym otworzyli drogę do całego zestawu problemów. Czym się to wszystko skończy?

- Nie powiesz mi chyba, że ci się to nie podobało, Darcie. I tak ci nie uwierzę - powiedział, dotykając jej policzka.

- Nie o to chodzi - westchnęła.

- No to o co? Mów. Przecież wiesz, że możesz mi zaufać.

- Wiem.

- No więc...

Jak we śnie oboje położyli się na trawie przy brzegu strumienia.

- Darcie, jesteś taka piękna... - Jack wtulił twarz w jej szyję i wsunął dłoń pod bluzkę. Gładził ją po plecach, po brzuchu. A potem dotknął piersi.

Z namiętnością, która ją samą zadziwiła, Darcie przejęła inicjatywę. Poszukała ust Jacka i zaczęła je całować. Nie mogła oderwać się od niego.

Nie miała pojęcia, jak długo tak trwali, w izolacji od rzeczywistości. Gdy jednak w końcu położyli się obok siebie, słońce stało już dość wysoko. Oświetlało porastające brzeg rzeczki eukaliptusy.

- Od jak dawna tu jesteście? - zapytała.

- Czy to ważne? - Jack pokręcił głową. - Wszystko w porządku? - zapytał zaniepokojony jej milczeniem.

A co niby miałyby być jeszcze w porządku, pomyślała Darcie, siadając na trawie.

Jack w pozycji pólężącej opierał głowę na rękę i patrzył na nią. Nie podobała mu się taka, ze skulonymi ramionami.

- Darcie, powiedz coś.

- Nie wiem, co mogłabym powiedzieć - odrzekła, gryząc źdźbło trawy.

- O czym?

- O... o nas.

Jack usiadł. Wziął jej dłoń i się jej przyglądał.

- No cóż, oboje jesteśmy ludźmi z krwi i kości. Nie mamy, o ile mi wiadomo, żadnych zobowiązań. Jesteśmy singlami, więc w czym problem? - Uniósł na chwilę brwi. - Bo ty jesteś singielką, prawda? - upewniał się, nagle zaniepokojony.

- Jestem.

- No więc pytam jeszcze raz: w czym problem?

Nie odezwała się, potrząsnęła tylko głową. Jack w milczeniu zbliżył do ust jej dłoń i ucałował każdy palec z osobna. A potem przycisnął je do piersi. Jego oczy mówiły: zaufaj mi. Poczowała się osaczona. Jego męska siła, jego dzikość - to wszystko bardzo działało jej na zmysły.

- Darcie...?

- Ja byłam zaręczona, Jack - rzekła cicho.

- No i...?

- Uciekłam od niego tu, do Australii - wykrztusiła.

- Zerwałaś zaręczyny? To żaden wstyd. Wierzę, że miałaś powody, żeby to zrobić.

- O tak, miałam.

- Opowiesz mi o tym? - zaproponował, przyciągając ją znów do siebie.

Darcie trudno się było przełamać. Jeśli jednak mają być wobec siebie szczerzy

i uczciwi, musi to zrobić.

- Miał na imię Aaron - zaczęła powoli. - Jest lekarzem, pracowaliśmy razem w szpitalu St Faith w Londynie. Wydawało się, że do siebie pasujemy. Był dla mnie dobry. Kiedy więc poprosił mnie o rękę, nie wahałam się.

- Ale potem zaczęłaś mieć wątpliwości?

- Jak tylko włożył mi na palec pierścioneł, bardzo się zmienił. Najpierw myślałam, że mi się tylko tak wydaje. Ale potem jego troska o mnie zaczęła się zmieniać w... kontrolę. Czepiał się o wszystko: jak się ubieram, jaką mam fryzurę. Zaczął mi wybierać ciuchy, kazał wkładać tylko te, które sam kupował. Ale to był dopiero początek.

Jack poczuł, jak Darcie lekko się wzdrygnęła.

- Była też przemoc fizyczna?

- Nie, tego bym nie zniosła. Odeszłabym po dwóch minutach. Ale on tak potrafił mnie podejść. Był mistrzem... manipulacji.

- No to dobrze, że go rzuciłaś.

- Tak myślisz?

- Jasne, im szybciej tym lepiej. A twoi rodzice? Nie mogłaś się schronić u nich?

- To skomplikowana sprawa. - Darcie pokręciła głową. - Czasem myślę, że ich w ogóle nie znam. Ani oni mnie - dodała zrezygnowanym tonem.

Jack zamyślił się. Już wcześniej miał wrażenie, że ją coś gnębi.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zaproponował. - Wszystko oczywiście zostanie między nami.

- Chcesz zostać moim doktorem, Jack? - zażartowała.

- Nie, chcę być twoim przyjacielem - odparł cicho. - Kiedy zaczęłaś myśleć, że coś jest nie tak między tobą a rodzicami? - spytał, bo milczała dłuższą chwilę.

- Miałam chyba dwanaście lat... - zawahała się.

- Wspomniałaś coś o gosposi. Wnioskuje z tego, że nie wysłali się do szkoły z internatem?

- Czasem myślę, że tak byłoby dla mnie lepiej. Przynajmniej miałabym towarzystwo rówieśników. Byłam straszliwie samotna...

- I co? - zachęcał ją do mówienia, co jej sprawiało najwyraźniej ból.

Spojrzała na niego uspokojona dotykiem jego dłoni. Słowa łatwiej przechodziły jej teraz przez gardło.

- Rodzice osiągnęli szczyty kariery zawodowej. Byli zapraszani na wykłady, jeździli po całej Anglii. W przerwach spędzali parę dni w domu i zachowywali się, jakbym była czymś najcenniejszym w ich życiu. Ale zaraz potem znowu wyjeżdżali

na długo.

- Mało odpowiedzialny model rodzicielstwa, co?

- Można tak to nazwać. - Zaśmiała się gorzko. - I może właśnie to pociągało mnie w Aaronie - dodała, jakby po raz pierwszy przyszło jej to na myśl. - Był zawsze przy mnie, nie tak jak rodzice.

- Całkiem naturalna reakcja - zaryzykował Jack diagnozę.

- Teraz wiem, że byłam dla niego łatwym łupem. Taka naiwna, stłamszona... - Westchnęła ciężko.

- Hej, nie wolno ci się obwiniać. - Patrzył na nią z troską. - Czy twoi rodzice poznali Aarona?

- Jasne, byliśmy przecież zaręczeni, planowaliśmy ślub. Lubili go. Kiedy usiłowałam im powiedzieć o swoich wątpliwościach, mówili, że przesadzam.

- Ale wiedzą, gdzie teraz jesteś? I dlaczego wyjechałaś z Anglii?

- Tak. - Znow zamilkła. - Gdy się zorientowałam, jakie życie czeka mnie po ślubie, poczułam, że muszę uciekać. Nie miałam siły mu się przeciwstawić. Znałam potęgę jego perswazji. Zagadałby każdego i wszystko.

- Odezwał się w tobie instynkt samozachowawczy - stwierdził Jack. - Jak ci się udało uciec?

- Przyjaźniłam się ze stażystką z Australii. Kiedy wyjeżdżała, powiedziała mi, że gdybym kiedyś chciała tu przyjechać, pomoże znaleźć mi pracę. Zadzwoiłam do niej i przedstawiłam swoją sytuację. Nie minęła doba, a już siedziałam w samolocie. Zostawiłam Aaronowi karteczkę z wyjaśnieniami. Schowałam ją tak, żeby jej nie znalazł przed startem samolotu. - Znow zrobiła przerwę. - Pracowałam trochę w Brisbane, ale to mi niespecjalnie odpowiadało.

- Pewnie odruchowo oglądałaś się przez ramię?

- Można tak powiedzieć - przyznała.

Jack przytulił ją mocniej. Wyobrażał sobie jej rozpacz, strach...

- Zaczęłam szukać w internecie. Był wolny etat w Sunday Creek...

- I oto tu jesteś.

- Tak. - Wciągnęła do płuc powietrze, stopniowo normując oddech. Poczowała wielką ulgę, że zdecydowała się zwierzyć Jackowi i że on ją chyba zrozumiał.

- Czasem wydaje mi się - powiedział, lustrując uważnie jej twarz - że ciągle się boisz. Myślisz, że ten drań przyjedzie cię szukać.

- Teraz już nie. Na pewno nie spodziewał się, że jestem zdolna do czegoś takiego.

- Bo cię nie znał, prawda? - parsknął Jack. - A z ciebie jest prawdziwa dama z jajami.

- Kto? Ja?

- Tak, ty. Dziękuję, że mi to opowiedziałaś. Że mi zaufałaś.

Czy to coś zmieni między nimi? Darcie zastanawiała się nad tym, gdy powoli wracali do zagrody. Nie powinno, nadal będą kolegami z pracy. Ale po pracy? Kim będą dla siebie? Najlepszymi przyjaciółmi? Przyjaciółmi, między którymi jest chemia? A może kochankami? Poczowała podniecenie. Nie, to byłoby o jeden krok za daleko. Powinna z nim pomówić czy raczej nie?

Zdecydowała, że lepiej nic nie mówić. Nie mogła jednak przestać o tym myśleć.

Potem w stajni rozsiodływali swoje rumaki, wycierali ich skórę, gładzili.

- Dzięki za wspaniałą jazdę, kochanie. - Darcie objęła szyję Jewel i przytuliła do niej policzek.

- Do mnie mówisz? - Jack uśmiechnął się figlarnie.

- Kto wie? - odpowiedziała i zauważyła, że jego oczy natychmiast zaszły mgłą. - Choć nie wprost - dodała, strząsając z siebie garść plew, którymi zdążył ją obsypać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Tydzień później szła korytarzem do gabinetu Jacka. Ostatnio nie widywali się często.

Jack wyjechał na trochę, by pozajątwić sprawy związane z założeniem filii, którą nazywał przychodnią w terenie. Ale dziś był już w szpitalu i Darcie postanowiła to wykorzystać.

- Masz chwilę? - spytała, wsuwając głowę w uchylone drzwi.

- Witam. Dawno się nie widzieliśmy. - Wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka.

Uśmiechnęła się blado i spojrzała na niego. Siedział z poważną miną, a Darcie zaczęła się zastanawiać, czy on nie żałuje przypadkiem ich pocałunków i tego, że na kilka godzin zamienili swe relacje z zawodowych na prywatne. A może w ogóle o tym nie myślał?

- Jak przygotowania do założenia przychodni? - spytała.

- Na razie dobrze. Zarząd jest bardzo przychylny tej idei. Znaleźli się też przedsiębiorcy w Warrawee, którzy chcą nam użyczyć pomieszczeń. To dobry punkt. Wielu potrzebujących nie będzie już musiało dojeżdżać po pomoc tu, do szpitala. Mogłabyś naradzić się z Maggie i dać mi znać, czego będziemy potrzebować na początek?

- Jasne. - Z entuzjazmem odniosła się do pomysłu. - Na pewno trzeba będzie zakupić meble i sprzęt do gabinetu zabiegowego i urządzić coś w rodzaju recepcji. Biurka, laptop, baniak z wodą, coś do zrobienia herbaty... No i pewnie trzeba będzie te pomieszczenia odmalować?

- Ostrożnie z tym. Zróbmy tylko to, co niezbędne, a potem zobaczymy, ilu pacjentów będzie się tam zgłaszać. Czy to się w ogóle opłaci. Cięższe przypadki i tak będziemy mogli leczyć tylko tu, w szpitalu.

- Zdaję sobie sprawę, ale ludzie, przede wszystkim ci starsi wiekiem, boją się szpitali. Dobrze byłoby móc ich leczyć w przychodni.

- Radziłaś sobie, nie mając do dyspozycji innej placówki, tylko szpital w Sunday Creek?

- Tak. I spotykałam się cały czas z uznaniem i szacunkiem, o jakim każdy lekarz może tylko marzyć.

- Na pewno sobie na to zasłużyłaś - stwierdził, w roztargnieniu pocierając dłonią policzek.

Darcie zaczerwieniła się i wzruszyła ramionami.

- Jak często ta przychodnia ma przyjmować pacjentów?

- Myślę, że co dwa tygodnie. Zresztą zależy od ich liczby.

- Kiedy już placówka powstanie, na pewno znajdą się chętni.

- Miejmy nadzieję.

- Sam będziesz tam jeździł, czy będziemy to robić na zmianę?

- Może pani też jeździć, doktor Drummond. A wracając... Po co właściwie do mnie przychodzisz?

- Potrzebuję konsultacji. Pacjent to David Champion, lat dwadzieścia siedem.

Artysta, malarz, osoba raczej ekscentryczna. Według Maggie mieszka w szałasie w buszu. Typ włóczykija.

- A czy przypadkiem nie traktuje szpitala jak hotelu? - Jack rozparł się w obrotowym krześle.

- Nie sądzę. Ogólnie jest w dołku, ale nie wiadomo dokładnie, co mu jest.

- Narkotyki?

- Nie stwierdziłam śladów.

Jack zamyślił się. Oparł brodę na dłoni.

- Z czego on żyje? Sprzedaje obrazy?

- Maluje wspaniale - ożywiła się Darcie. - Głównie tutejsze pejzaże. Niedawno miał wystawę w bibliotece. Kupiłam dwa obrazki, wiszą u mnie w sypialni.

Jack skierował swe błękitne spojrzenie na jej twarz, a potem niżej. Tam, gdzie kończył się dekolt bluzki, a zaczynała smuga kremowego cienia.

- Będę musiał kiedyś je obejrzeć...

Darcie oblizwała wargi. O co mu chodzi? I czy chciałaby, by mu chodziło o to, o czym ona teraz myśli?

Jej zaskoczony wyraz twarzy nie umknął uwadze Jacka. Nie powinien pozwalać sobie na takie niestosowne wypowiedzi. Co mu strzeliło do głowy, by mówić o wizycie w jej sypialni? Cóż, wyrwało się.

Darcie. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, czuł, że chce mu się żyć. Że jej pragnie.

Ale ją tak łatwo zranić. Nie może do tego dopuścić.

- Porozmawiajmy o tym trochę później, Darcie...

Wstrzymała oddech. Czyżby w jego głosie była zapowiedź, jakaś obietnica? Poczuli się jak złapane w sidła zwierzę. Dobrą chwilę zabrało jej odzyskiwanie równowagi. Potem skinęła głową.

- A teraz rzucimy okiem na twojego pacjenta, dobrze? - powiedział, wstając

zniecka.

Starannie zbadał Davida Campiona. Gdy osłuchiwał jego plecy, zacisnął wargi.

- Spróbuj zakasłać, David. Jeszcze raz. Słyszę tu jakieś trzaski, jakby coś grzechotało. Kiedy ostatnio jadłeś?

- Nie wiem. Nie jestem głodny. - David wzruszył ramionami.

- Muszę cię tu zatrzymać. - Jack wpisał coś do karty. - Masz infekcję płuc. Musimy ją opanować, bo potem może być bardzo źle. Zrobimy ci kilka badań, okej?

- Zgoda. - Młody człowiek zamrugnął powiekami w sposób charakterystyczny dla sów.

- Dobrze, że przyszedłeś. - Darcie uśmiechnęła się do pacjenta. - Zaraz przeniosę cię na oddział.

Jack wywołał ją na korytarz na słówko.

- Poproś Maggie, żeby przygotowała mu dokumenty stwierdzające przyjęcie do szpitala, dobrze?

- Tak. I zaraz pobiorę krew. Co mamy zbadać?

Jack wymienił szereg podstawowych analiz.

- Aha, i zróbcie jeszcze test na niedoczynność tarczycy.

- To przecież występuje raczej u kobiet, nie? - spytała, marszcząc brwi.

- Zazwyczaj tak, ale nie można się sztywno trzymać tych ustaleń. Powiem ci, że parę lat temu w Melbourne leczyli dwudziestoletniego chłopaka z rakiem piersi.

- David jest ciągle ospały. Tarczyca może mieć z tym coś wspólnego - przyznała Darcie.

- Są też inne wskazania. Bardzo powolne tętno i skóra wysuszona jak u starej jaszczurki.

- To pewnie z powodu niedożywienia i ogólnie złych warunków życia.

- Zobaczymy, co pokażą wyniki. Poproś, żeby przesłali analizy mejlem. Tu na miejscu zrobimy mu tomografię komputerową. Mamy sprzęt, prawda? - upewniał się Jack.

- Tak, ale muszę zadzwonić po kogoś do obsługi.

- Ciekawy przypadek - podsumował Jack, wręczając jej kartę pacjenta.

Na wyniki Davida trzeba było czekać tydzień.

- Czyli jednak tarczyca, tak jak podejrzewałeś? - spytała Darcie, gdy siedli po dwóch stronach biurka w gabinecie.

- Hmm... Do tego gigantyczna anemia. Ale wyleczymy go.

- O ile go znajdziemy. Jak zapewne wiesz, wyszedł po jednym dniu na własne

żądanie i znów zniknął w buszu.

- Pewnie jest w swoim szałasie?

- Niekoniecznie. Mówił, że musi natychmiast mieć kilka obrazów dla galerii w Melbourne. Pewnie zabrał płótna, sztalugi i poszedł gdzieś malować.

- Cholera. - Jack w zdenerwowaniu uszczypnął się w wargę. - Powinniśmy go znaleźć jak najszybciej i zacząć leczyć. Poproś Maggie, niech nakreśli nam obszar, gdzie go można napotkać. Co powiesz na małą włóczęgę?

- Możemy być oboje poza szpitalem w tym samym czasie? - stropiła się Darcie.

- Tu się nic nie dzieje. Poza tym nie znikniemy na długo, mam nadzieję. Jestem szefem - uśmiechnął się - i biorę w razie czego wszystko na siebie. Szybko znajdziemy Davida i namówimy go do powrotu do szpitala.

- Fakt, im szybciej, tym dla niego lepiej.

Po około półgodzinnej jeździe znaleźli się w miejscu, gdzie według Maggie miało się znajdować siedlisko Davida.

- Zobacz, to chyba tam. - Darcie wskazała palcem byle jak skleconą szopę.

- Oby był w domu - mruknął Jack, parkując.

Wspięli się po koślawych schodkach. Jack zapukał do drzwi, a gdy nie było odpowiedzi, położył rękę na klamce.

- Chyba nie powinniśmy aż tak... - szepnęła Darcie.

- On jest chory, może nie być w stanie otworzyć drzwi - przekonywał ją Jack.

Drzwi ustąpiły dopiero, gdy Jack naparł na nie z całych sił. Znaleźli się w niesamowitym wnętrzu oświetlonym przez szklane panele znajdujące się z tyłu budynku.

- O mój Boże... - wyszeptała oniemiała Darcie.

- Niech to... - dodał zachwycony Jack.

Dom był wypełniony obrazami różnych rozmiarów, oprawionymi bądź nie. Tematy były rozmaite: od pogodnych naręczy polnych kwiatów w wazonie po dzikie wizje nadciągającej burzy.

Darcie odruchowo złapała się za gardło.

- Boże, jaki on jest utalentowany.

- Zdziwiająco - potwierdził Jack. - Ale musimy wyjść, nie wolno naruszać jego prywatności.

- Jak tu cicho... - wyszeptała Darcie, gdy znów stali przed szałasem.

- Może cykady zamilkły tylko na dwie sekundy... Ale generalnie masz rację.

Było południe, słońce stało wysoko na niebie. Bujna roślinność to właściwie

jedyne, co tu było widać. Jack wciągnął w nozdrza balsamiczne powietrze i szepnął:

- On może być właściwie wszędzie.

- To co robimy?

- Zawołajmy „ku-i” i zobaczymy. Może nam odpowie.

Darcie wiedziała, że chodzi o okrzyk, którym w buszu porozumiewają się australijscy aborygeni.

Jack przyłożył do ust dłoń zwinęte w trąbkę i zawołał pierwszy raz. Bez rezultatu.

- Spróbujesz też? - zaproponował.

Darcie pokonała wewnętrzny opór.

- Tym to możesz co najwyżej obudzić niemowlę - powiedział, usłyszawszy okrzyk, który bardziej przypominał pisk.

Druga próba wypadła o wiele lepiej. Darcie była z siebie dumna.

- Może jeszcze raz? - zaofiarowała się.

- Do trzech razy sztuka?

Ale i tym razem nikt nie odpowiedział.

- Mam nadzieję, że nie leży tam gdzieś ciężko ranny - powiedziała rozczarowana.

- Na pewno zna ten busz jak własną kieszeń, nic mu tu nie grozi - pocieszał ją Jack. - Myślę, że raczej zdecydował się nie odpowiadać.

- No to musimy go szukać.

- Nie, to nie należy do naszych obowiązków.

- Ale on jest chory, Jack. Potrzebuje leczenia.

- Tak. Napiszę mu to i wsunę kartkę pod drzwi.

- Podkreśl, że ma się natychmiast zgłosić do szpitala, dobrze?

- Racja, ale ty to zrobisz. On ciebie lepiej zna, może posłucha. A ja spróbuję zadzwonić do Maggie, zapytam, co u nich.

Oddalił się w poszukiwaniu miejsca, gdzie komórka miałaby zasięg. Wrócił i oznajmił, że nic się nie dzieje.

- To co, wracamy? - spytała Darcie.

- Myślę, że możemy się tu jeszcze trochę pokręcić. David może się pojawi. Głupio byłoby go przegapić. Odpocznijmy, znajdziemy jakieś zacienione miejsce i zjemy lunch.

- Lunch? Przywiozłeś coś do jedzenia?

- Owszem, wziąłem to i owo. - Wzruszył ramionami. - W tym kraju, gdziekolwiek się udajesz, musisz mieć przy sobie jakiś prowiant i wodę. Może ci się zepsuć samochód, możesz mieć wypadek, zablądzić... A na pomoc czeka się godzinami.

I pamiętaj, jak gdzieś się wybierasz, zawsze zostawiaj wiadomość, gdzie cię w razie czego szukać.

- Ja to wszystko wiem, Jack - syknęła zniecierpliwiona.

- Nie zaszkodzi powtórzyć. Tu trzeba być stale czujnym. Zobacz, tu chyba jest w sam raz. - Wskazał miejsce pod eukaliptusem. - Przynieś, proszę, koc z samochodu, a ja sprawdzę, czy nie ma mrówek.

- Widzę, że wzięłaś szpitalną pościel - stwierdziła z przekąsem, pomagając mu rozłożyć koc na trawie.

- I co? Doniesiesz na mnie?

- Komu? Tobie? Oszczędzę sobie tej biurokracji.

Zachichotał. Miło było widzieć Darcie odprężoną.

- Mam wyrzuty sumienia. Siedzimy sobie i jemy, zamiast szukać zaginionego pacjenta - powiedziała Darcie po jakimś czasie.

Pochłaniali chrupiące rogaliki z serem i pomidorkami koktajlowymi. Na deser mieli przygotowaną przez Carole kawę z termosu i ciasteczka czekoladowe.

- Robimy, co możemy - stwierdził Jack filozoficznie.

Zacząła sprzątać pozostałości posiłku.

- Jak długo zamierzamy tu czekać, Jack?

- Zlituj się, Darcie, chcesz dostać niestrawności? Lunch zabrał nam dwadzieścia minut, mamy prawo do przerw w pracy. Jak często z nich korzystasz?

- Rzadko - przyznała, strojąc minki.

- No to nadarzyła się okazja. Poza tym ciągle pracujemy: czekamy na pacjenta. Dobrze nam tu, prawda? - mruknął, przesuwając wierzchem dłoni po jej policzku.

Darcie poczuła się jak w środku wielkiej mydlanej bańki. Świat przestał istnieć. Byli tylko we dwoje. On i ona. Jack niepostrzeżenie przysunął się bliżej i objął ją ramieniem. Pochylił się i poszukał jej ust. Czuć go było kawą i czekoladą. Rozchyliła wargi i zaprosiła go do środka. Ale to mu nie wystarczało. Żądał więcej. Chciał ją położyć na plecach, kochać się z nią w otoczeniu zapachów ziemi i odgłosów buszu. Włożył jej rękę pod bluzkę i gładził jedwabistą skórę.

Pocałunek dobiegł końca, ale nie rozdzielili się. Jack zniżył usta i przyłożył je do miejsca na szyi, gdzie wyczuwał szalony puls.

Darcie czuła, jak zaciska się jej krtań. Przymknęła powieki i poddawała się pieszczotom.

- Spójrz na mnie - poprosił.

Zrobiła to. Była teraz w pełni świadoma ciepła jego ciała, czuła na sobie

spojrzenie niebieskich oczu. Wiedziała, że on pragnie jej tak jak ona jego.

Jack zaczął się bawić kosmykiem jej włosów.

- Zobaczysz, jeszcze nadejdzie nasz czas, Darcie.

Tak, ale na pewno nie dzisiaj, pomyślała gorzko. Tym bardziej że właśnie rozległ się dzwonek telefonu.

- Tego, co wynalazł komórki, należałoby powiesić - mruknął Jack, tłumiąc przekleństwo.

- A co byśmy bez nich robili? Wołali „coo-ee”? - Sytuacja wydała się Darcie mimo wszystko zabawna.

Jack odebrał telefon.

- Maggie? Co słychać?

- Max Alderton jest poważnie ranny w szyję.

- Jak to się stało?

- Jeździł motocyklem po swoim terenie i zaczepił o drut rozciągnięty między drzewami. Louise uważa, że ktoś to zrobił specjalnie.

- Jakie ma obrażenia?

- Krwawi dość obficie z prawej strony szyi.

- Może mieć naruszoną tętnicę?

- Louise nie jest pewna. Całe szczęście, że miał przy sobie komórkę. Żona natychmiast przywiozła go do nas. Poleciałam, żeby się nie kładł, ale on musi być szybko operowany, Jack.

- Kim dysponujemy?

- Ja mogę asystować. Na szczęście akurat przyjechał Brad Kitto, jeden z latających lekarzy, przywiózł pacjentkę po chemioterapii. Może uspić Maxa, ma kwalifikacje, a ty w tym czasie dojedziesz.

- Dobrze, już się zbieramy. Niech on się zacznie przygotowywać.

W drodze Jack relacjonował Darcie, czego dowiedział się od Maggie.

- Jakie to straszne! Louise myśli, że to było coś w rodzaju zamachu?

- Podobno. Przecież Max mieszka i pracuje w Willow Bend od dwudziestu lat.

Wiedziałyby, gdzie może być drut.

- Boże, przecież mogło mu to obciąć głowę!

- Przerazające - potwierdził Jack. Opowiedział też, że na szczęście akurat znalazł się anestezjolog, który przywiózł pacjentkę po chemii.

- O, to pewnie Heather Young. Musimy ją zatrzymać.

- A gdzie ona mieszka?

- W Loganlea, jakieś dwieście kilometrów od nas. Pewnie rodzina przyjedzie ją odebrać.

- Jakie są rokowania?

- Raczej optymistyczne. Chociaż wiesz, jak to bywa z rakiem...

- Domyślam się, że była świetnie przez ciebie prowadzona. Chętnie przejrzę w wolnej chwili jej dokumentację. Za dziesięć minut jesteśmy na miejscu - zakończył, patrząc na zegarek.

Darcie westchnęła. Martwiła się o Maxa, ale jednocześnie żałowała, że ich - jej i Jacka - chwile zapomnienia to już zamierzchna przeszłość.

Cóż, w tym zawodzie nie ma się czasu dla siebie...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy dotarli do szpitala, Max był odurzony, ale przytomny. Usiłował coś powiedzieć.

- Oszczędzaj siły, Max - poprosił Jack łagodnie. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Oddychasz prawidłowo - dodał, przytykając stetoskop do piersi rannego. Potem delikatnie odsunął owijający szyję Maxa ręcznik i obejrzał ranę.

- Główna tętnica nietknięta - stwierdził. - Miałeś szczęście, chłopie. Darcie, podaj mi klamrę.

Narzędziem, które przypominało nożyczki skrzyżowane z obcęgami, wykonał prowizoryczne zamknięcie rany.

- Założysz opatrunek?

Darcie stała obok w pogotowiu. Przyłożyła tampony do kilku krwawiących miejsc.

- Można już podawać tlen - oświadczyła. - Jaką chcesz dawkę?

- Zaczniemy od ośmiu litrów na minutę, a potem się zobaczy.

Darcie działała jak automat.

- Jak rana?

- Trochę przesącza, ale na razie pół biedy. Dam mu jakiś środek przeciwbólowy.

Gdy wróciła z lekiem, Max był już podłączony do urządzenia monitorującego pracę serca.

- Wkrótce będzie stabilny - powiedziała Darcie. - Ja go popilnuję, a ty, Jack, idź już do salki operacyjnej.

- Okej. - Jack zdjął gumowe rękawiczki. - Postaraj się jakoś pocieszyć Louise.

- Jasne - odrzekła szorstko. Nie musiał jej tego mówić.

- Lou?

Żona Maxa stała przy oknie w poczekalni ze wzrokiem utkwionym w jakiś odległy obiekt.

- Co z nim? - zapytała.

- Jest stabilny. Natalie właśnie wiezie go do salki operacyjnej. Usiądź koło mnie - nalegała Darcie. - Poprosiłam Carole, przyniesie nam herbatę.

- Co za ironia, prawda? Kiedy decydowałam o funduszach na urządzenie tej poczekalni, nie sądziłam, że będę pierwszą osobą, która z niej skorzysta. Max wyjdzie z tego, Darcie?

- Jack to świetny chirurg - odparła Darcie wymijająco. W tak trudnych

przypadkach wszystko jest możliwe.

- Dzięki Bogu, że go tu mamy. Inaczej Max musiałby czekać, aż doleci jakiś specjalista. A potem jeszcze transport do większego szpitala na zabieg... Ile może potrwać taka operacja?

- Nie wiadomo. Zależy od obrażeń. O, idzie Carole z herbatą.

- Zrobiłam też kilka kanapek, bo pani na pewno nie zdążyła nic zjeść przed wypadkiem - rzekła kucharka.

- To bardzo miłe, dzięki, Carole. - Przygnębiona Louise uśmiechnęła się.

- Jak do tego doszło? - spytała Darcie, nalewając herbatę. - Jack coś mówił, że to... sabotaż? Zamach?

- Max jest uczciwy i hojny jako pracodawca. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał go skrzywdzić.

- Podejrzewasz któregoś z pracowników?

- Ostatnio przyłapał kogoś na kradzieży paliwa. Parę młodych ludzi. Przepraszali i zapewniali, że wzięli tylko trochę do swojego dostawczaka, bo chcieli pojechać na tańce do Barclay.

- I Max im uwierzył?

- Tak, uznał, że młodość musi się wyszumieć. Oni nawet chcieli oddać pieniądze, ale powiedział, że tym razem im daruje. Niestety dwa dni później znów ich przyłapał. Tym razem lali do beczki, najwyraźniej na sprzedaż. Zwolnił ich z pracy i dał godzinę na opuszczenie farmy.

- Boże, wrócili, żeby się zemścić... - Darcie nie mieściło się to w głowie.

- Na to wygląda. Znali jego rozkład dnia, wiedzieli, dokąd i kiedy pojedzie. Drut rozciągnęli chyba w nocy.

- Przerazająca perfidia. Rozmawiałaś z policją?

- Przekazałam tylko informacje i swoje przypuszczenia. Zajmą się tym. Ja przede wszystkim musiałam ratować Maxa. Zatrzymacie go tu?

- O tak, na pewno - odparła Darcie. - Na początku będzie mógł jeść tylko zmiksowane papki. Ale jak już zacznie połykać normalnie, będzie zdrowy jak rydz.

- Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem szczęśliwa, że to ty i Jack kierujecie teraz tym szpitalem. - Louise zamrugnęła oczami, chcąc pewnie ukryć łzy. - No i że jest ta salka operacyjna. Kiedyś to było nie do pomyślenia.

- To była inicjatywa Jacka - przyznała Darcie.

- Ale ty mu w tym pomogłaś.

- Tak, on ma o wiele więcej doświadczenia - stwierdziła Darcie. Nie chciała wdawać się w szczegóły. Przecież nie od razu była entuzjastką jego pomysłów.

Louise pokiwała głową i spojrzała na zegarek.

- Może wolisz pojechać do domu? - zaproponowała Darcie. - Kiedy Max będzie po operacji, przyjadę po ciebie.

- Nie, dzięki, dobrze mi tu. Widać ślad kobiecej ręki. - Rozejrzała się po kolorowo urządzonej poczekalni. - Twojej, jak sądzę?

- Uznałam, że poczekalnia nie może być przygnębiająca.

- Zadomowiłaś się w Sunday Creek...

- Może to zabrzmie dziwnie, ale tak - odparła Darcie. - Polubiłam odludzie.

Fakt, tu czuła się bezpiecznie jak nigdzie.

- Ja nie widzę w tym nic dziwnego - odrzekła Louise. - Ale nie zatrzymuję cię dłużej. Dam sobie radę.

Późnym popołudniem Darcie zaczęła opisywać przypadek Emmy Tynan. Trzynastolatkę przyjęto poprzedniego wieczoru z powodu ataku astmy. Jej stan się poprawiał, ale wolniej, niż można się było spodziewać.

- Wiesz, Nat - zagadnęła Darcie pielęgniarkę - podejrzewam, że Kristy Tynan nadal pali papierochy przy Emmie. Ale ta nam tego nie powie.

- Na pewno. Czasem się zastanawiam, która z nich dwóch lepiej wypada w roli matki.

- No tak, Kristy ma pracę zmianową w tym barze przy szosie. Niełatwo tak żyć. A jakiś ojciec w ogóle istnieje?

- Trudno powiedzieć. Kristy i jej córka pojawiły się tutaj parę lat temu. Mieszkają w bloku obok kręgielni.

- A więc biedna mała musi sama o siebie dbać?

- Matka nie ma dla niej wiele czasu. Z drugiej strony trudno się dziwić, że przy takim życiu ciężko rzucić palenie.

- Fakt, dla niektórych to jak narkotyki - potwierdziła Darcie. - Podobno pomaga zwalczyć stres.

- Jeśli chcesz, pójdę do Emmy i trochę oklepię jej plecy. Przy okazji poobserwuję, jak się czuje.

- Dzięki, Nat.

- Wielkie nieba! Nareszcie! - zawołała nagle pielęgniarka, gdy do recepcji weszli mężczyźni.

Obie z Darcie nie mówiły o tym, ale oczywiście czekały na wieści z operacji Maxa.

- O, i Brad tu jest - rzekła Darcie zdziwiona.

- Cześć, Dee-Dee! - „latający” Brad w podskokach znalazł się przy Darcie

i uściśnął ją. – Jak dobrze cię widzieć, kochanie.

Jack zmrużył oczy. Dee-Dee? Co tu jest grane?

Darcie wyzwoliła się z objęć Brada.

– Nie wiedziałem, że to ty eskortujesz do nas Heather – powiedziała.

– Dałem łapówkę, żeby dostać to zlecenie. Nie mogłem stracić okazji, żeby cię zobaczyć. Harry też tu jest.

Harry to jeden z pilotów, którzy często latali do Sunday Creek w ramach wypraw Królewskiej Służby Latających Lekarzy Australii.

– Wracacie czy zostajecie na noc? – spytała Darcie.

– Szczerze mówiąc, liczyliśmy na zaproszenie. Może jakieś małe przyjętko?

Przywieźliśmy świetne owoce morza. Zrobimy grilla?

– Kto wie... – Darcie roześmiała się niepewnie.

– Ja nie mogę – uprzedziła Natalie. – Mam kolację w domu, z moim dwulatkiem.

– Szkoda...

– Gdzie jest Louise? – wtrącił nagle Jack ostrym tonem.

– Tu, w poczekalni...

– Nie lepiej było odwieźć ją do domu?

Darcie odebrała to jak reprimendę.

– Proponowałam, ale wolała poczekać tutaj – odrzekła chłodno. – Wnioskuje, że operacja się udała?

– Niech ci Brad opowie – mruknął Jack. – Ja muszę porozmawiać z Louise.

Patrzyła na jego plecy, gdy się oddalał. To zachowanie nie było w jego stylu. Zazwyczaj był bardzo bezpośredni, gdy miał coś do kogoś. Co go ugryzło?

– Coś poszło nie tak? – zwróciła się do Brada.

– Wystąpiły drobne zakłócenia, w kluczowym momencie – odrzekł lekarz. – Ale już jest okej. Max wyjdzie z tego.

Darcie poczuła ulgę.

– Ten zabieg był testem na sensowność tutejszej salki operacyjnej – ciągnął Brad.

– I wierz mi, Darcie, Jack wie, co robi. W życiu nie widziałem tak znakomitego chirurga w akcji.

Idąc do poczekalni, Jack międził w ustach najgorsze przekleństwa. Czy Darcie coś łączy z tym Kitto?

Spała z nim? Syknął przez zęby. Jak to jest możliwe? Zaledwie kilka godzin wcześniej byli z sobą niemal tak blisko, jak tylko dwoje ludzi może być. A teraz... Poczł ucisk w sercu.

Czyżby z jej strony to była tylko taka zagrywka?

Zatrzymał się przed wejściem do poczekalni, zaczerpnął tchu i zapukał. Z wysiłkiem przywołał na usta coś w rodzaju uśmiechu.

- Co ty tu jeszcze robisz? - rzucił ostro w stronę Darcie, gdy jakiś czas później omal nie wpadł na nią na korytarzu.

Przewróciła oczami. Co ona może tu robić?

- Maggie musiała wyjść, trzeba było sprawdzić, kto może zostać na noc.

- Nie powinnaś raczej iść do domu zająć się gośćmi?

Aha, więc znowu jakieś insynuacje... Ona musi zachować spokój i profesjonalizm, bo jego na to nie stać.

- Sami dadzą sobie radę. Na miejscu jest Lauren. A jak impreza się rozkręci, na pewno zjawi się jeszcze kilka osób. Ty też mógłbyś dać sobie wolny wieczór.

- Ja muszę tu zostać i doglądać Maxa - odparł, a między brwiami pojawiły mu się dwie pionowe bruzdy.

- W razie potrzeby możesz tu dotrzeć w ciągu dwóch minut. Dom jest o rzut beretem.

- Nie. Zostanę, Louise też wymaga troski.

Darcie zrobiła krok do tyłu, by zyskać trochę przestrzeni, bo nagle poczuła, że jest tu zbyt ciasno dla nich dwojga.

- Dlaczego taki jesteś?

- Jaki? - odparł zaczepnie, krzyżując ręce i opierając się o ścianę.

- Taki... nabzdyczony. - To słowo prawie go rozbawiło. - Wiesz, co mam na myśli.

Ignorujesz mnie. I Brada. A jemu akurat powinieneś być wdzięczny.

- Podziękowałem mu. Nie mam zastrzeżeń do jego zawodowych kwalifikacji.

Darcie zrozumiała, że ta rozmowa prowadzi donikąd, zmieniła więc temat.

- Lou chciałaby zostać na noc w mieście. U nas w hotelu będzie trochę ludzi...

- Ona już zarezerwowała sobie pokój w motelu - przerwał Jack. - Zna właściciela.

- No to jak w końcu? - naciskała. - Przyjdiesz i zjesz z nami kolację?

Ma udawać równego faceta? Udawać, że nic nie widzi?

- Jako naczelny lekarz powinienem być w szpitalu. Nie bierz tego do siebie.

Dzisiaj jest wyjątkowa sytuacja.

Robił wrażenie spiętego. Gdyby jej tylko pozwolił... Pomogłaby mu pozbyć się stresu w ciągu sekundy, ale on teraz wolałby towarzystwo Caponego niż jej.

- Skoro wybierasz obowiązki... - odrzekła dumnie. - Ale pamiętaj, możesz się trochę zdrzemnąć. Ja na pewno będę w szpitalu wczesnym rankiem i sprawdzę, co

z Maxem.

Jack ukończył wieczorny obchód. Wszystko było w porządku. Stan Maxa, który przebywał w jedynym w tej placówce pokoju jednoosobowym, był stabilny. Ursula Cabot, siostra na nocnym dyżurze, była osobą kompetentną i odpowiedzialną. Jack mógłby więc z powodzeniem dołączyć do domowej imprezy.

Ale był na to zbyt uparty. I zazdrosny.

Gdy poczuł głód, zaczął wskrobywać resztki z rondla w szpitalnej kuchni. Starał się przy tym ignorować dobiegający zza okien wspaniały czosnkowy aromat grillowanych krewetek. Przyjęcie jak widać się rozkręca...

Idiota, pomyślał o sobie. Ale czy to jego wina, że nie może znieść widoku Darcie w ramionach innego? Nienawidzi tego!

W recepcji Ursula Cabot biedziła się nad krzyżówką.

- Napijesz się herbaty? - zaproponował Jack.

- Dziękuję, dziś już kilka wypiałam. A ty niepotrzebnie wycierasz tu kąty, Jack. Nie poszedłbyś na imprezę?

- Zostałem, bo chcę mieć na oku Maxa. Przeszedł dziś poważną operację. - Wzruszył ramionami.

- A ja po co niby tu jestem? - zapytała cierpko Ursula. - Sprawdzam jego stan co pięć minut. Zawołam pana, doktorze Cassidy, jeśli coś będzie się działo.

- Wyrzucasz mnie?

- Coś w tym stylu. Idź już. Właśnie chyba, o ile dobrze słyszę, zaczynają się tańce. Poproś Darcie, ona wygląda mi na niezłą tancerkę. Jest taka... lekka.

O tak, jest lekka. Zwłaszcza w jego ramionach.

Jack szedł w stronę hotelu. Wahał się, czy dołączyć do imprezy. Przy furtce powitał go Capone. Jack pogłaskał go, a usatysfakcjonowany tym pies pomachał mu ogonem i z powrotem położył się pod schodami.

Jack wchodził na górę. Rozbrzmiewała piosenka w wykonaniu Norah Jones. Czy Brad Kitto uwodzi przy jej dźwiękach Darcie? Nie chciał wiedzieć.

Obojętnie przeszedł obok pomieszczenia, gdzie odbywało się przyjęcie, i skierował do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Darcie przeszła przez uśpiony dom. Szukała Jacka. Siedział na zewnątrz z kubkiem herbaty i Caponem u boku. Promienie porannego słońca oświetlały podwórko.

- Witaj.

Spojrzał na nią i poczuł ucisk w piersi. Ubrana w bawełniane spodnie i obcisłą koszulkę w paseczki była uosobieniem stuprocentowej kobiecości.

- Myślałam, że sobie pośpisz.

- Pospałem. Co w szpitalu?

- Max miał atak bólu. Brad dał mu zwiększoną dawkę leku. Poza tym w porządku.

- Nasz latający chłopiec już pojechał? - Jack spojrzał na nią z kpinią.

- Właśnie przed chwilą. - Darcie wytrzymała jego spojrzenie. - Wstaliśmy przed piątą.

Wstaliśmy? Ta liczba mnoga to potwierdzenie najgorszych przeczuć.

- A więc? Co zamierzasz zrobić ze swoim wolnym dniem? - spytała, widząc, że nagle zamknął się w sobie.

- Pierwsze słyszę, że mam dziś wolne - warknął.

- Zachowujesz się jak trudny nastolatek, Jack. Rozumiem, jesteś szefem, ale i ty potrzebujesz czasem zmiany klimatu. Ja jestem w stanie cię zastąpić. W garażu walają się jakieś wędkę. Weź je i pojedź na ryby. Choćby do Bumbilla Crossing, to dobre miejsce dla początkujących. Zabierz z sobą psa - dorzuciła. - Widzę, że jego towarzystwo najbardziej ci odpowiada. I oczekuję kilku okazałych okoni na kolację.

- To wygląda całkiem nieźle - rzekła Darcie jakiś czas później, oglądając kolano Maxa. - Jutro albo pojutrze zbadamy przełyk. Na razie zdrowiejesz podręcznikowo.

- Dzięki - wykrztusił Max.

Darci ścisnęła go za ramię.

- Lauren zaraz zmieni ci pościel, a jutro z samego rana obejrzy cię Jack.

Przynajmniej taką należy mieć nadzieję...

Darcie przeszła do recepcji.

- Jack do ciebie. - Maggie podała jej słuchawkę.

- Jack? - Serce Darcie podskoczyło.

- Kolacja o szóstej. Będiesz?

- Jasne. Zaraz po pracy.

- Fajnie, to do zobaczenia.

- Zaraz, zaraz! - krzyknęła w słuchawkę, bojąc się, że się rozłączy. - Złapałeś dla mnie rybę?

- Oczywiście! - Parsknął z wyższością.

A więc miała rację. Kilkugodzinny wypad zupełnie zmienił mu humor. Pewnie trochę popływał w rzece, poopalał się. No i złowił dla niej rybę.

A więc miał udany dzień.

I najwyraźniej zatęsknił do niej.

Wracała do domu jak na skrzydłach. Czuła ulgę. Jack zaakceptował jej pomysł, chociaż trochę się bała, że była zbyt impertynencka. Ale warto było zaryzykować, by usłyszeć teraz w jego głosie dawną lekkość.

- Czy możesz poczekać kilka minut? - spytała, wsadzając głowę do kuchni, gdzie Jack opracował ryby. - Muszę wskoczyć pod prysznic.

Myła się w rekordowym tempie. Zamiast nieśmiertelnych spodni włożyła sukienkę w kwiaty. Chciała, by Jack to docenił. Żeby znów było między nimi jak dawniej. Poczwała się lekko, kobieco i...

Pociągająco?

Zatrzymała się i odetchnęła. Tyle się dzieje między nią a Jackiem. Tak wiele jest rzeczy niedopowiedzianych...

Rozpuściła włosy. Ten wieczór musi być inny, relaksujący.

- Darcie, jesteś gotowa? - zawołał Jack.

- Już idę!

Omiótł ją wzrokiem od stóp do głów.

- Rozumiem, że zjemy w salonie?

- Przynajmniej częściowo - uśmiechnęła się.

Jack nakrył obrusem koniec wielkiego kuchennego stołu. Położył odświeżoną zastawę, zapalił świece.

- Może ci pomóc? - zaproponowała.

Patrzyła na niego, a jej głód rósł i rósł.

- Możesz nalać wina do kieliszków. W lodówce jest riesling, pasuje do ryby.

A Lauren zostawiła nam sałatkę.

- To miłe z jej strony. Jak przyrządzisz ryby?

- Po prostu je usmażę, a potem przez minutę, dwie dojdą w piekarniku. Może być?

- W życiu nie jadłam lepszego posiłku - oświadczyła, gdy kolacja dobiegała końca.

- A jak wczorajsze owoce morza z grilla? - spytał Jack, obracając resztkę wina w kieliszku.

- Nieźle - przyznała, wzruszając ramionami. - Ale dzisiejsza kolacja to coś wyjątkowego.

- Co przez to rozumiesz?

- Bo zrobiłeś ją specjalnie dla mnie - powiedziała, z trudem przełknąwszy ślinę. Nawet w nikłym świetle świec widziała, że Jack wpatruje się w nią intensywnie.

- Należało ci się to. Po moim wczorajszym chamskim zachowaniu... Bałem się, że odejdziesz - dokończył, wlewając w siebie resztkę wina.

- Że rzucę pracę? Dlaczego? Zresztą podpisałam umowę. A więc, doktorze Cassidy, jakkolwiek chciałbyś się mnie pozbyć, nigdzie nie pójde.

Sam nie wierzył, że jej słowa sprawią mu taką ulgę.

- Kiedy znów spotkasz się z Bradem? - spytał.

- Nie mam pojęcia. Biorąc pod uwagę charakter jego pracy, pewnie kiedyś tam się spotkam.

- Jesteście chyba dość blisko...?

- Zawsze jesteś taki szybki w sądach? - Zaczerwieniła się. - Nie mam zwyczaju kręcić, jeśli chodzi o facetów. Nic nie ukrywam. Znasz mnie wystarczająco długo, żeby o tym wiedzieć.

- Okej, przyznaję. Wiem, że to do ciebie niepodobne. Z mojej strony to była głupia zazdrość.

Zauważyła, że nagle zeszywniał. Ktoś kiedyś musiał nadużyć jego zaufania... Postanowiła to wy badać.

- Powiedz mi coś o swojej byłej dziewczynie - poprosiła. Mówił wprawdzie, że się rozstali, ale Darcie miała wrażenie, że sprawa miała o wiele bardziej skomplikowany przebieg.

- Nie chcę o tym mówić.

- Czy to jest fair, Jack? Naciągnąłeś mnie na zwierzenia o mojej nieudanej miłości, a o sobie nie chcesz nic powiedzieć?

Wiedział, że ona ma rację. Zaczerpnął tchu.

- A więc chcesz to usłyszeć? Tu i teraz?

- Nieważne miejsce, ważna opowieść. Zaczynij od tego, jak miała na imię, a potem jakoś się potoczy.

- Zoe - odezwał się po chwili milczenia. - Trochę już o niej słyszałaś. Poznaliśmy się w Sydney, mieliśmy wspólnych znajomych. Szybko zostaliśmy parą. Byliśmy oboje bardzo zajęci, robiliśmy kariery, taki romans stanowił miłą odskocznię.

- Mielicie różne zawody?

- Tak. Zoe grała w teatrze, pracowała głównie wieczorami, ja natomiast raczej w dzień. Na początku nam to nie przeszkadzało. Nie mieliśmy czasu dla siebie, ale staraliśmy się jak najlepiej wykorzystywać nieliczne wspólne chwile.

Pewnie głównie w łóżku, dośpiewała sobie Darcie i poczuła, że już nie lubi tej kobiety.

- Zoe zapragnęła spróbować kariery w Anglii - ciągnął. - Nie chciałem się z nią rozstawać i zgłosiłem się do programu wymiany. Dołączyłem do Zoe po trzech miesiącach.

- Ale przez ten czas byliście w kontakcie?

- Owszem, choć jak teraz na to patrzę, głównie z mojej inicjatywy. Zoe tłumaczyła, że ma mnóstwo castingów, spotkań z agentami i ja to rozumiałem. Potem dostała rolę w filmie, a ja właśnie miałem przylecieć. Przesłałem jej esemesa ze wszystkimi informacjami.

Darcie zabolalo serce. Wyobraziła sobie, jak Jack cieszy się na spotkanie z kochanką. Ogarnęły ją wątpliwości. Może lepiej było nie poruszać tego tematu?

- Jak nie chcesz dalej mówić, to nie musisz. Chyba się domyślam, co się stało.

- Przyleciałem dzień wcześniej i od razu pojechałem do niej do domu. Otworzyła mi drzwi. Zrozumiałem, że się mnie, delikatnie mówiąc, nie spodziewała.

- Nie była sama? - Darcie próbowała mu zaoszczędzić wypowiedzenia najbardziej bolesnych słów.

- No tak. - Roześmiał się hałaśliwie. - Nie zaskoczyłem ich w łóżku, ale mało brakowało. Ona była w szlafroku, a on stał oparty o drzwi sypialni, ćmiąc wyjątkowo obrzydliwie cuchnące cygaro. Miałem ochotę rozpirzyć to mieszkanie. Z nim na czele.

- I co? Na tym się skończyło? Nawet nie pogadaliście? - pytała Darcie, gorączkowo łapiąc oddech. Musiała przyznać, że ona w podobnej sytuacji nie chciałaby rozmawiać. Odwróciłyby się na pięcie i tyle by ją widzieli...

- Nie bardzo było o czym - Jack znów roześmiał się nieszczercze - ale po jakimś czasie się spotkaliśmy. Zoe powiedziała, że ona po prostu musi się rozwijać. Ten Simon jest aktorem, więc u jego boku będzie jej łatwiej. Bo przy mnie nie było - zakończył gorzko.

- Musiałeś być bardzo rozczarowany.

- Jakoś to zniosłem - odparł, uspokoiwszy się. - Nie miałem wyjścia. Teraz już wyszedłem na prostą.

- To pewnie dlatego nie podobało ci się w Anglii.

- Możliwe.

- Gdybyśmy się wtedy znali, pokazałabym ci wszystkie magiczne miejsca. Przekonałbyś się, jaka Anglia jest piękna.

- Przykro mi, że musiałaś opuścić swój kraj - powiedział po chwili milczenia. Patrzył na nią jasnym i troskliwym wzrokiem.

- Nie martw się. Takie jest życie - odparła, uśmiechając się z przymusem. - Co powiesz na herbatę?

Jacka ścisnęło w gardle. Najchętniej teraz porwałby ją w ramiona i ucałował. Ostudził jednak zmysły.

- Herbata? Cudownie. I wiesz co, Darcie? Dzięki za tę rozmowę. I za wolny dzień.

Wzięli herbatę i kilka ciasteczek, które Darcie znalazła w szufladzie, i wyszli przed dom.

- To już zaczyna być naszym zwyczajem - zauważyła, gdy rozsiedli się wygodnie.

- Tak, to świetne miejsce na relaks, na słuchanie odgłosów nocy. Przyzwyczyłaś się już do nich?

- Prawie do wszystkich z wyjątkiem nocnego wycia dingo. Śmiertelnie się ich boję. Dobrze, że nie podchodzą za blisko.

- Fakt, są mięsożerne, ale zjadają mniejsze zwierzęta. Do siedzib ludzkich zbliżają się tylko, jak nie mogą znaleźć pożywienia.

- Czyli raczej nie natknę się na dingo na tarasie?

- Mało to prawdopodobne - uśmiechnął się - a nawet jeśli, to dingo byłby bardziej przestraszony niż ty.

- Mam nadzieję. - Nie wyglądała na przekonaną.

- Darcie, to nie są wilki, tylko psy. Zresztą strażnicy leśni mają je na oku, nie bój się.

Przez chwilę milczeli, aż Jack odezwał się:

- Możemy porozmawiać trochę o pracy?

- Wolałabym nie. Jak dzień wolny, to wolny. - Roześmiała się gardłowo. - No dobra, od czego zaczynamy?

- Jak się czuje Max?

- Nieźle. Nie miał dziś bólów. Obiecałam, że mu wkrótce zbadamy przełyk.

- Wolałbym z tym nie zwlekać. Czy Brad wyjawiał ci szczegóły jego operacji?

- Tak - odrzekła Darcie, ważąc słowa. - Mówił, że był pod wrażeniem twoich umiejętności.

- To bardzo wspaniałomyślne z jego strony, ale to był zbiorowy wysiłek. Brad jest

urodzonym klinicystą.

- No właśnie, dlatego tak wspaniale sobie radzi jako latający lekarz.

- Mmm - mruknął Jack pod nosem. Wolałby, by nie wyrażała się o tym Kitto w aż takich superlatywach. - Ta operacja dała mi do myślenia - dodał, zmieniając temat.

Darcie spojrzała na niego pytająco.

- Musimy jeszcze raz rozważyć, które zabiegi możemy przeprowadzać na miejscu. Gdybym nie miał do dyspozycji wykwalifikowanego anestezjologa, Max by nie przeżył. Miałaś rację, zgłaszając wątpliwości co do utworzenia tu sali operacyjnej. Ja wykazałem się nadmiernym zadufaniem.

Spojrzała na niego. Wiedziała, że przyznanie się do błędu musiało tego dumnego mężczyznę wiele kosztować.

- Ale przecież nikt nie ucierpiał - łagodziła.

- Tym razem nie - sprostował znużony. - Wiedz, Darcie, że w przyszłości będziemy tu przeprowadzać tylko najbardziej podstawowe zabiegi. I za każdym razem będzie to nasza wspólna decyzja. Nie będę cię nakłaniał do niczego, jeśli nie będziesz przekonana.

- To uczciwe postawienie sprawy, dzięki. Ale myślę - podjęła po chwili - że powinniśmy to omówić z radą nadzorczą. Niech wypowie się Louise. O ile wiem, była wdzięczna, że Max był tu operowany, że nie musieli lecieć setki mil dalej.

- Dobrze, porozmawiam z nią. - Wzruszył ramionami. - Darcie, jesteś prawdziwym skarbem Sunday Creek.

- Coś takiego! - prychnęła zmieszana. - Dobrze wiesz, że sukces szpitala to wspólna sprawa zespołu lekarzy i pielęgniarek.

Jack uniósł do góry kącik ust.

- Jakieś wieści od Davida Campiona? - zapytał.

Darcie pokręciła głową.

- Mam nadzieję, że jakoś odnajdzie drogę do nas - powiedziała.

- Jak mu się pogorszy...

- Pozmywam naczynia - zaproponowała, wstając.

- Pomogę ci.

- Nie trzeba, zrobięś przecież kolację.

- Wiesz co? Włożę wszystko później do zmywarki - powiedział, okrążając stół.

Przez chwilę trzymał ją w ramionach.

- A co do naszej wcześniejszej rozmowy... - zaczęła niepewnie. - Nie chciałam się wtrącać w nie swoje sprawy.

- Nie szkodzi. Wspaniała z pani słuchaczka, doktor Drummond.

- Ale ja tylko...

Pocałował ją.

- I ma pani bardzo seksowne wargi - dodał.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odrzekł i pocałował ją po raz drugi.

Wydała z siebie dźwięk podobny do kociego mruczenia. Czuła, jak do samych koniuszków jej palców u rąk i nóg dociera wzmożona fala miłości i pożądania. Z nie do końca uświadomioną decyzją, że niech się dzieje, co chce, przylgnęła do Jacka całym ciałem.

Gdy się cofnął, poczuła się pusta i osamotniona. Spoglądała na niego niepewnie.

Patrząc na nią, czuł, że wszystkie zmysły wyrwały się spod kontroli jego rozumu. Czy to już ten moment, by zaproponować jej seks? Jeśli nie teraz, to kiedy? Przez chwilę trwał w udręce. Nie potrafił znaleźć słów, nie wiedział, jak zaprosić ją do łóżka. Wokół brzęczały cykady i czuć było ostry cytrynowy zapach drzewek herbacianych.

- Moglibyśmy przenieść ciąż dalszy do środka - wymamrotał spięty.

A więc nareszcie otwarcie przyznał się do swych zamiarów. Darcie poczuła ucisk w żołądku, a jej mózg skurczył się do tego stopnia, że nie była w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że mają cały dom dla siebie. Nikt im nie przeszkodzi, niezależnie od tego, na co się zdecydują.

- Chcę być z tobą, Darcie. Pozwól mi...

Przytulił ją znowu do siebie. Tak mocno, że jego ciało dosłownie wbijało się w nią.

- Jack...

Czuła, jak przyciąga ją do siebie coraz mocniej. Poczuła podniecenie. Nietrudno było przewidzieć, co dalej.

- Wystarczy jedno twoje słowo - wyszeptał z ustami wtulonymi w jej włosy.

Zarzuciła mu ręce na szyję i już miała powiedzieć to, co chciał usłyszeć, gdy nagle zdała sobie sprawę, że oto wchodzi na drogę, z której nie ma odwrotu. Sprawy między nimi skomplikują się nieodwołalnie.

Odsunęła się bez słów. Skrzyżowała ręce na brzuchu, jakby chciała się bronić.

- Jack, jest tysiąc powodów, dla których nie powinniśmy tego robić.

- Dlaczego? Przecież zanosisz się na to od tygodni. Wiesz, że będzie nam dobrze - perswadował głosem schrypniętym z pożądania.

Spuściła wzrok. Nie chciała, by Jack był świadkiem jej lęków, wahań.

- Boisz się, prawda? - odgadł.

- A co, dziwisz się? - Oblizwała wyschnięte wargi.

- Nie, ale dziwię się, jak takie głupstwo, które przeżyłaś w Anglii, mogło do tego

stopnia zniszczyć twoją odwagę. Musisz znów uwierzyć w siebie, musisz mi zaufać!

Przymknęła oczy. Przecież tego właśnie pragnie, czyż nie tak? Chce należeć do Jacka, być częścią jego życia.

- Daj mi jeszcze trochę czasu - poprosiła.

- Czasu? Na co, Darcie? Żebyś zaczęła mnożyć wątpliwości, dzielić włos na czworo? Snuć najgorsze scenariusze? Daj spokój...

- Jak to: daj spokój? - Wywinęła się, gdy znów chciał ją przytulić. - Ty lubisz natychmiastowe rozwiązania. Przepraszam, Jack, ode mnie ich nie dostaniesz.

Atmosfera nagle zgęstniała.

- Pracujemy razem - przypomniała. - Dzień w dzień.

- I co z tego? Uważasz, że nie wolno nam mieć życia prywatnego? - mówił poirytowany.

- Jack, na miłość boską, ja nie chcę niczego utrudniać, ale nie możemy tego tak zostawić.

- Wiem.

- To co mamy zrobić?

- Nie wiem. Ja w każdym razie już odpuszczam - powiedział, jakby to miała być ostateczna decyzja.

- A ja... bardzo ci za to dziękuję. - Słowa z trudem przechodziły jej przez wyschnięte gardło.

Jack zacisnął usta. Dręczyły go nieznane dotychczas emocje. Boże, ona jest taka odważna. I piękna.

- Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to się z tobą kłócić, Darcie. Zróbmy coś, żeby było jak do tej pory.

Wierzyła, że mówi szczerze. To przecież Jack Cassidy, człowiek dumny i z charakterem. Skoro zniża się do prośby, trzeba mu wierzyć.

- Pocałujmy się i będzie po wszystkim - powiedziała.

Jackowi nie trzeba było tego powtarzać. Nachylił się i językiem dotknął jej dolnej wargi. Tak lekko, jak tylko mógł, gdy jednocześnie każda komórka jego ciała nawoływała do tego, by pogryźć te wargi do krwi.

Bardzo powoli się wyprostował.

- Dobranoc. Niech ci się przyśnię - powiedział, dotykając czołem jej czoła.

- Okej, pod warunkiem, że ty będziesz śnić o mnie.

- Załatwione.

Nachylił się ponownie i złożył delikatny pocałunek na jej ustach. Boże, gdyby tylko

można było śnić na jawie...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Max wyzdrowiał w ciągu dwóch tygodni. Do szpitala zgłosił się też David Champion. Leczą go, a Jack dał mu wskazówki, jak zachować zdrowie.

Życie jest cudowne, pomyślała Darcie, wypełniając kartę opuszczającej szpital Emmy Tynan. Również w jej relacjach z Jackiem nastąpiło coś w rodzaju pomyślniej stabilizacji. Wprawdzie wszystko się może wydarzyć, ale...

Wróciła myślami do Emmy. Co jeszcze można zrobić dla dobra tego dzieciaka? To taka rezolutna dziewczynka.

- Darcie, przepraszam...

- O, to ty, Carole. - Uśmiechnęła się na widok kucharki. - Wybacz, rozmarzyłam się, nie słyszałam, jak weszłaś.

- Nie szkodzi. Pomyślałam sobie, skoro nie masz dużo pracy... możesz mi poświęcić chwilę?

- Jasne. Porozmawiajmy w gabinecie.

Pozostaje mieć nadzieję, że nie chodzi o jakąś chorobę...

- Nie będę owijać w bawełnę - powiedziała Carole, siadając przy biurku. - Przyszłam złożyć wymówienie.

- Mam nadzieję, że nic złego się nie stało? - Darcie była zaskoczona i zrobiło jej się autentycznie przykro. - Jakies kłopoty ze zdrowiem?

- Nie, nic z tych rzeczy. Córka i zięć poprosili, żebym z nimi zamieszkała w Brisbane. Ben dostał pracę, prawie cały czas jest w rozjazdach. Nicole źle to znosi. Nie radzi sobie z wychowywaniem dwójki urwisów.

- Jedziesz, żeby jej pomóc?

- Tak. A poza tym tęsknię za wnukami. To takie urocze maleństwa.

- Nie wątpię. - Darcie naprawdę się wzruszyła. - Kiedy chcesz odejść?

- Jak tylko znajdziecie zastępstwo. Przecież nie zostawię was na lodzie.

- Będzie nam smutno bez ciebie, Carole. Ale rozumiem, rodzina zawsze powinna być na pierwszym miejscu.

- Też tak uważam - odparła Carole, wstając. - Będę tęsknić za Sunday Creek i za wami.

- Wyprawimy ci małe przyjęcie pożegnalne. - Darcie uśmiechnęła się, gdy wracały do recepcji. - Tym razem my ugotujemy coś dobrego.

- Nie trzeba... - Carole wyglądała na zakłopotaną. - Ale będzie mi miło. Dziękuję.

Darcie udała się do gabinetu Jacka. Oprócz wieści o odejściu Carole miała mu coś

jeszcze do przekazania. Zapukała i wsunęła głowę w uchylone drzwi.

- Cześć. - Jack wstał zza biurka, uśmiechnął się i ruchem ręki zaprosił ją do środka.

- Bardzo późno wczoraj wróciłeś - zauważyła. - Chciałam się tylko dowiedzieć, jak poszło.

Wczoraj nastąpiło otwarcie przychodni w terenie.

- Dobrze, choć tam jeszcze jest sporo do zrobienia - powiedział, siadając wygodnie w fotelu. - Całe szczęście, że Maggie ma takie zdolności organizacyjne. Bez niej nie dałbym rady.

- Czyli będziesz ją tam za każdym razem z sobą zabierał?

- Na razie tak. Chociaż i inne pielęgniarki na pewno będą chciały pojechać od czasu do czasu.

- I ja też - przypomniała mu.

- Pani przede wszystkim, doktor Drummond. - Spojrzał na nią tkliwie. - Maggie zrobiła listę rzeczy, które trzeba kupić, żeby przychodnia była bardziej przyjazna pacjentom.

- Świetnie, porozmawiam z nią, jak przyjdzie. A tak przy okazji, Carole złożyła wymówienie. Musimy znaleźć kogoś na jej miejsce.

- O nie! - Jack zrobił zboląłą minę. - Tak lubiłem jej spaghetti i klopsiki.

- I jeszcze jedna wiadomość - dodała, przewracając oczami. - Remont rezydencji naczelnego lekarza został właśnie ukończony.

- Hm, wiem. - Wyglądał na roztargnionego. - Louise dała mi pęk kluczy.

- No to świetnie. Możesz zacząć przeprowadzkę.

- Pomyślę o tym.

Wcale nie miał ochoty się przeprowadzać. Lubił swój służbowy pokój. Rezydencja została pomyślana dla kogoś, kto ma rodzinę, dzieci, całą masę rzeczy. A on jest samotną wyspą. Po co mu tyle miejsca? Może lepiej niech w tej willi zamieszka jakaś duża rodzina w potrzebie. Ale rada nadzorcza na pewno nie wyrazi zgody...

- Meg McLeish dopilnuje umeblowania i wyposażenia w sprzęt gospodarstwa domowego - ciągnęła Darcie. - Tobie pozostaje tylko przenieść rzeczy osobiste.

- Chce się pani mnie pozbyć, doktor Drummond?

- Twoja wyprowadzka nie oznacza, że nie będziemy się widywać po pracy - odrzekła, czerwieniąc się.

- Ale będziemy mieć mniej okazji.

- Być może.

- A jest między nami coś, co nie zostało ostatecznie rozwiązane, Darcie -

przypomniał jej. – Prawda?

Machnęła lekko ręką i wstała.

– Gdybyś potrzebował pomocy przy przenosinach, daj znać.

Zamyślona szła korytarzem w stronę recepcji, gdzie zastała już Maggie.

Wymieniły powitania.

– Czy Jack ci wspominał, że będziemy potrzebowali wyposażenia dla przychodni w terenie?

– Zostawmy to na razie, Maggie. Chcę z tobą pomówić o czymś innym. – Usiadła na wysokim stołku przy recepcji. – Co ci wiadomo o osobistej sytuacji Kristy Tynan?

– Samotna. Rozwiedziona. Żadnego faceta na horyzoncie. Ciężko pracuje – wyliczała Maggie. – Oczywiście to tylko do twojej wiadomości.

– Nie mam zamiaru wtykać nosa w cudze sprawy, Maggie. Ale akurat pojawił się problem z obsadą...

– Ktoś odchodzi?

– Carole wyjeżdża. Z przyczyn rodzinnych.

– I zastanawiasz się, czy nie zatrudnić na jej miejsce Kristy?

– Bystra jesteś! – Darcy uśmiechnęła się z uznaniem.

– Moje chłopaki wiedzą o tym znakomicie – zauważyła Maggie ironicznie. – Poważnie mówiąc, myślę, że Kristy bardzo by się chciała wyrwać z tego baru przy szosie. Tam pracuje w nieludzkich godzinach.

– Pójdę z nią porozmawiać. – Darcie zerknęła na zegarek. – Im wcześniej kogoś zatrudnimy, tym szybciej Carole będzie mogła dołączyć do rodziny.

– Tu na pewno będzie się Kristy przyjemniej pracować – potwierdziła Maggie. – No i Emma będzie miała w razie czego opiekę na miejscu. Musimy już zacząć prowadzić kampanię antynikotynową – zakończyła z przebiegłym uśmiechem.

– Ty powinnaś rządzić państwem. Zaraz wracam.

W przydrożnym zajeździe Darcie skierowała się do czegoś w rodzaju sali jadalnej.

– W czym mogę pomóc? – zagadnął ją młody człowiek.

– Chciałabym porozmawiać z Kristy Tynan.

– Nie ma sprawy, już ją wołam.

– Czy coś z Emmą? – zapytała wystraszona Kristy, gdy przez wahadłowe drzwi wyszła z kuchni.

– Nic podobnego, przepraszam, że cię zaskoczyłam. Przychodzę, bo może chciałabyś zmienić pracę?

– Nie rozumiem... – Kristy wytarła ręce o fartuch.

- Możemy gdzieś usiąść na boku?

- Tak, właśnie należy mi się przerwa. Wyjdźmy na zewnątrz.

Krótko i zwięźle Darcie przedstawiła perspektywy zatrudnienia w szpitalu.

- Będziesz musiała zaplanować jadłospis, ale to nic trudnego. Chyba że zdarzy się pacjent na specjalnej diecie.

- Mogę temu podołać. W Sydney uczyłam się na szefa kuchni, ale potem wyszłam za mąż, urodziła się Emma... Pani pewnie wie, że jestem rozwiedziona, doktor Drummond. Mam tylko Emmę.

Darcie pokiwała głową.

- W szpitalu możemy ci zaoferować dogodniejsze godziny pracy, Kristy. A jak Emma nie będzie chciała zostawać sama w domu po lekcjach, możesz przychodzić z nią. Zjecie razem posiłek - uśmiechnęła się Darcie. - Szkolny autobus zatrzymuje się przy szpitalu, prawda?

- To brzmi zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. - Kristy nerwowo zamrugała oczami.

- Ale to najczystsza prawda - zapewniała ją Darcie. - Carole, nasza dotychczasowa kucharka, odchodzi. Potrzebujemy zastępstwa. I to jak najszybciej.

- Będę musiała przejść jakąś rozmowę kwalifikacyjną? - Wargi Kristy drżały.

- Właśnie ją odbyłyśmy. - Darcie uśmiechnęła się ciepło. - Przedstawię sprawę radzie nadzorczej. Będziesz musiała tylko pokazać jakieś referencje.

- Da się zrobić.

- Okej. Jak wszystko dobrze pójdzie, praca jest twoja.

Oczy Kristy nagle zaszły mgłą. Zaczęła nerwowo pocierać policzki dłońmi.

- Dziękuję, że pani o mnie pomyślała. Nawet pani nie wie, ile to znaczy, dla mnie i dla Emmy.

- Ludzie w Sunday Creek zawsze byli dla mnie bardzo życzliwi, więc ja się im odwdzięczam.

Późnym popołudniem Jack wytropił Darcie w zabiegowym, gdzie nakładała szwy tragarzowi. Mężczyzna zranił się, wyładowując blachę do budowy dachu.

- Jak pani skończy, proszę na słówko, doktor Drummond.

- Zaraz będę u ciebie w gabinecie.

- O co chodzi? - spytała, gdy odesłała pacjenta do domu. Zaszczepiła go uprzednio przeciw tężcowi i wypisała recepty na antybiotyki.

Jack podniósł się zza biurka lekko zmieszany.

- Pomyślałem, jeśli oczywiście macie czas... Może poszlibyśmy razem rzucić okiem na ten mój dom?

- Jeszcze go nie obejrzałaś? - Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie czułem takiej potrzeby. Pójdiesz ze mną?

Wzruszyła ramionami.

- Powiem tylko Maggie, gdzie mnie szukać. A tak przy okazji, chyba znalazłam nową kucharkę. Rozmawiałam z Kristy Tynan. Jest chętna i na pewno będzie świetną pracownicą.

- No, no, no! Koronkowa robota, doktor Drummond. - Jack aż gwizdnął z podziwu.

- Rozumiem, że ją akceptujesz?

- Jasne. To znakomite wyjście dla obydwóch pań Tynan.

- Też tak myślę - zgodziła się. - Nadam sprawę Louise, niech zajmie się formalnościami. A Carole może już sobie jechać.

- Zobacz! Otynkowali go i pomalowali mury - entuzjasmowała się Darcie, uśmiechając się zachęcająco.

- O rany, faktycznie - mruknął z kamienną twarzą.

- Wejdzmy do środka - zaproponowała Darcie, pełna werwy. - Zobaczymy, co tam zrobili.

Wewnątrz dom pachniał świeżą farbą. Remont był zakończony. Darcie i Jack oglądali kolejne pokoje. Zatrzymali się w wielkiej, sąsiadującej z łazienką sypialni wyposażonej w istic królewskie łoże. Na dole były jeszcze dwie mniejsze sypialnie, każda z łazienką, a także salon i kuchnia.

- Jak tu pięknie, Jack - zachwycała się Darcie. - Czyściutko i przestronnie. Lou ma naprawdę talent do aranżacji wnętrz.

Na Jacku nie robiło to najmniejszego wrażenia.

- Co ja pocznę z taką ilością przestrzeni?

- Jak to co? Będiesz tu mieszkał!

- Tu mogłaby zamieszkać jakaś wielodzietna, bezdomna rodzina - burknął, posyłając Darcie spojrzenie pełne bólesci. - I jeszcze pewnie będę musiał wydawać tu przyjęcia, co? Najpierw podwieczorek z drinkami, za jakiś czas wielki bal. Jak to się nazywa? Parapetówka?

- Nie bądź śmieszny - parsknęła. - O ile mi wiadomo, ludzie w Sunday Creek nie przywykli do wielkich przyjęć. Popatrz - powiedziała, otwierając drzwiczki kredensu - Meg wszystko tu dla ciebie zgromadziła.

- Ale ja nie potrzebuję tego wszystkiego.

- Jesteś dyrektorem szpitala. To się łączy z twoim stanowiskiem, jest zawarte w kontrakcie. Masz pewną pozycję w tym miasteczku, Jack. Musisz żyć na poziomie - uświadamiała mu. - Nie możesz się gnieździć na kupie w hotelu pracowniczym jak w jakiejs jamie.

- A będę mógł chociaż wziąć z sobą psa, czy też nie wypada? - syknął jadowicie.

Spojrzała na niego bezradnie. Oczywiście, wolno mu tu wziąć jako współlokatorów nawet stado kangurów. Nawet ją. Nikt by mu złego słowa nie powiedział.

- Myślę, że Capone da się przekonać do przeprowadzki, jeśli zanęcisz go jakimiś przysmaczkami. O przepraszam, to do mnie.

Wyjęła telefon z tylnej kieszeni bojówek.

- Cześć, Lou! - wykrzyknęła radośnie. - Właśnie razem z Jackiem oglądamy jego willę. Jest piękna. Przepraszam, co powiedziałaś?

W miarę słuchania zaczęła powoli iść korytarzem, aż w końcu wyszła z budynku. Słyszając nagłą zmianę tonu, Jack poszedł za nią i poczekał, aż skończy.

- Darcie?

- To Louise... - powiedziała Darcie, zwilżając wargi.

- Tego sam się domyśliłem. Coś się stało?

- Jewel... wpadła do jakiejs króliczej nory. - Słowa z trudem przeciskały się przez ściśnięte gardło. - Właśnie ją znaleźli. Roztrzaskała sobie przednie kończyny. Sam Gibson już do nich jedzie.

- Kochanie, tak mi przykro. - Jack ją objął. Czuł, jak drży. - Może chcesz, żebyśmy pojechali do Willow Bend?

Pokiwała głową, zaciskając wargi.

- Lou też mi to zaproponowała. Moja biedna mała Jewel...

- Zawiozę cię - powiedział Jack łagodnie. - Daj mi tylko minutę. Pozamykam tu i dam znać Maggie, co się stało.

- Gdzie mamy ich szukać? - spytał, prowadząc samochód.

- Podobno gdzieś niedaleko posiadłości. Louise powiedziała, że będzie nas wypatrywać - odparła Darcie schrypniętym głosem.

Jack ścisnął jej dłoń dla dodania otuchy.

Klacz leżała przykryta płachtą. Jack zatrzymał samochód nieopodal.

- Leć do niej - zwrócił się do Darcie. - Ja zaraz będę.

Darcie biegła. Z daleka widziała Maxa i Sama stojących obok szalasu. Ich gesty

kazały spodziewać się najgorszego...

- To dla nas smutny dzień, Darcie - rzekł Max ponuro.

Darcie spojrzała na Sama z resztką nadziei w oczach, ale weterynarz pokręcił głową.

- Mogę przy niej trochę posiedzieć? - spytała Darcie, z trudem opanowując drżenie warg.

- Ile tylko chcesz - odrzekł Sam. - Ona nie cierpi. Znieczuliłem ją.

Darcie przyklękła obok klaczy i oparła głowę na jej miękkiej szyi, z której uchodziło życie. Jewel otworzyła na chwilę swoje wielkie ciemne oczy i Darcie zrozumiała, że koń na nią czekał.

Głaskała kobyłkę po jedwabistych uszach, po czole, wtulała twarz w cudownie miękką sierść. Jakby chciała zatrzymać odchodzące życie, oddalić chwilę, kiedy Sam wróci, by zrobić to, co do niego należy. W milczeniu żegnała swoją ulubienicę.

- Chodźmy już, Darcie. - Max wyglądał na załamane.

Wstała, pomachała rękę na pożegnanie i zataczając się, wpadła wprost w ramiona Jacka.

Poszli do land-rovera. Jack zapalił silnik, sprawdził, czy zapięli pasy i ruszył w kierunku drogi. Nawet gdyby teraz padł ostatni strzał, nie usłyszeliby go. Jack był wdzięczny Samowi, że oszczędził Darcie widoku czegoś nieodwołalnego.

- To okropne, prawda? - powiedział, gdy wjechali na drogę do miasta.

- Tak - odrzekła łamiącym się głosem. Łzy spływały jej po policzkach, ocierała je wierzchem dłoni. Nie podejrzewała, że tak to przeżyje.

- Mogę pójść z tobą do domu? - spytała, gdy zbliżali się do Sunday Creek.

- Do nowego domu? - Poczuł, jak skacze mu puls.

- Tak, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Patrzyła przed siebie. Jack położył jej dłoń na udzie.

- Jasne, że nie mam. Wpadnę tylko do hotelu i wezmę whisky. Oboje chyba tego potrzebujemy.

Rzucił na nią okiem i ujrzał samotną łzę spływającą po policzku. Wzmocnił uścisk, by okazać jej współczucie.

- Wiem, jak to boli, kiedy umiera ukochany zwierzak.

- Ja... zazwyczaj tak nie... nie reaguję - mówiła schrypniętym głosem - ale do Jewel byłam bardzo przywiązana. Widocznie potrzebowałam kogoś do kochania. - Roześmiała się nerwowo.

Boże. Jack czuł, jak wstrząsa nią dreszcz. Ja jestem obok ciebie! - chciał krzyknąć na głos. Mnie możesz pokochać!

Ale oczywiście nie powiedział ani słowa.

- Ja będę pił nierozcieńczoną, a ty? - spytał, wyjmując z kredensu szklanki do whisky.

- A jest jakiś lód?

Jack otworzył lodówkę. Meg naprawdę okazała się geniuszem przewidywania ludzkich potrzeb. Wrzucił kilka kostek lodu do płynu, podał szklankę Darcie i wznosił toast, siadając obok niej na barowym stołku.

- Za Jewel - powiedział cicho.

Darcie zdobyła się na nikły uśmiech.

- Może jestem nienormalna, że tak reaguję na śmierć zwierzęcia? - Spróbowała drinka.

- Nie widzę w tym nic nienormalnego. Zwierzęta są cudowne, mają wielkie serca. Są wierne, można na nich polegać. Ludzie mogliby się od nich uczyć.

Po chwili alkohol spowodował, że Darcie poczuła w żyłach miłe ciepłko. Dreszcze ustały.

- Dopiąłeś swego, co, Jack?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Myślę, że oboje dopięliśmy swego.

Patrzył na jej twarz. Wyrażała otwartość, ale także pasję, namiętność. Co ona właściwie chce mu powiedzieć? O co pyta? Uniosła szklankę i opróżniła ją do końca.

- Nie chcę teraz być nigdzie indziej. Tylko tu, z tobą.

- Jesteś tego pewna?

W odpowiedzi przycisnęła usta do jego warg. Przez chwilę czuła z jego strony opór, ale potem jego usta zmiękły. Rozchylił je i językiem delikatnie dotknął jej warg. Westchnęła, a on podniósł ją ze stołka i przytulił. Całe jej ciało dygotało, przylgnęła do niego i oplotła ramionami szyję. Poddała się jego woli.

Ogarnęła ją namiętność tak płomienna, jakiej dotąd nie zaznała. Zanurzyła palce w jego włosach. Chciała go dotykać, wszędzie. Zaczęło gorączkowo rozpinać guziki jego koszuli. Zapragnęła dotknąć nagiej skóry, chłonąć jej ciepło, zatracić się bez reszty.

Jack cofnął się odruchowo. To jakaś inna Darcie, takiej Darcie nie znał. Otworzyła się jak zaciśnięta do tej pory muszla ostrygi. Zrozumiał, że straciła panowanie nad sobą i to było piękne. Z drugiej jednak strony nie chciał, by później żałowała tego, na co się zanosi. Zaczął całować ją w szyję, powoli, by wytracić trochę szalonego tempa. Skoro mają się kochać, nie chciał, by to nastąpiło błyskawicznie, bez

refleksji. Chciał, by poznawali się nawzajem w najpiękniejszy z istniejących sposobów.

- Chodź ze mną - powiedział, biorąc ją za rękę. Całował jej dłoń i każdy palec z osobna. - Wypróbujemy moje nowe łóżko - dokończył figlarnie, w swoim stylu.

Zamknął drzwi sypialni i przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie nawzajem. Darcie nie mogła uwierzyć, że to się dzieje, choć wiedziała już od jakiegoś czasu, że bardzo go pragnie. Że jest jej potrzebny jak powietrze.

- Rozbierz mnie - szepnęła.

- Chcę, żebyśmy to autentycznie przeżyli, żeby to było coś naszego, Darcie - rzekł zachrypniętym głosem, od którego przeszły ją ciarki. - Tylko ty i ja.

Dyszała, gdy rozpinał jej bluzkę, gdy ustami dotknął rowka między piersiami. Zsunął ramiączka biustonosza, znacząc pocałunkami każdy świeżo odsłonięty skrawek skóry. Gdy pozbyli się ostatnich fragmentów odzieży, nie chciała czekać dłużej. Wtopiła się w niego jak zwierzątko szukające schronienia.

- Nie mogę uwierzyć, że w końcu do mnie przyszedłeś. - Głos Jacka był szorstki od ledwo wstrzymywanej żądz.

- Ale wiedziałeś, że do tego dojdzie, prawda? - Uśmiechnęła się słodko, wyprostowała dumnie i położyła jego rękę na swojej piersi. - Słyszysz? Moje serce oszalało.

Jack zastygł. Wyschnięte usta nie mogły wymówić słowa. Ona jest... wspaniała. I za chwilę będzie jego. Staną się jednością. Kochankami. Nareszcie.

Darcie nigdy jeszcze nie była do tego stopnia świadoma swojej seksualności. Położyła się na nieskazitelnie zasłanym łóżku, śmiejąc się kobieco, kusząco, zachęcająco.

Postanowił przyjąć to wyzwanie. Objął ją w pasie i obrócił twarzą do siebie. Leżała teraz na plecach. Patrzyli sobie w oczy.

- Boże! - przypomniał sobie nagle. - Nie mam nic przy sobie...

- Nie szkodzi, ja jestem zabezpieczona. Nie zwlekaj dłużej, Jack.

Ani myślał. Darcie nie ukrywała już emocji. Całe zło, jakie ją dotychczas spotkało, przestało się liczyć. Zupełnie jakby przekroczyła niewidzialną granicę, przeszła w inną przestrzeń. Dotyk Jacka wywoływał reakcje, jakich u siebie nawet nie podejrzewała, burzył zmysły, rzeźbił jej ciało na nowo, od stóp do głów.

- Pozwól mi... - szepnęła zafascynowana, gotowa na nowe odkrycia. Jęknął z rozkoszy, a po chwili zanurzyli się w sobie, smakowali siebie nawzajem, poruszeni zgodnym rytmem. Aż wspięli się tam, gdzie czekało na nich już tylko wspólne wyzwolenie i złoty deszcz miliona gwiazd.

Długi czas leżeli nieruchomo, spleceni, nawet trochę zadziwieni tym, gdzie się znaleźli.

W jego łóżku. Jako kochankowie.

- Uśmiechasz się - stwierdziła Darcie.

- Skąd wiesz?

- Bo ja też się uśmiecham - powiedziała, podnosząc głowę i przesuwając palcem po jego policzkach, które z wolna zaczynała pokrywać smuga zarostu.

- Nic nie powiesz? - spytał Jack, dotykając opuszką palca jej wargi i pożerając ją wzrokiem.

- Nic. - Wargę lekko jej drgała pod tym dotykiem. Wtuliła się w niego mocniej.

- Nie jesteś głodna?

- Raczej rozleniwiona. Ale może też trochę głodna. A ty?

- Nie odmówiłbym małej przekąski. Ale najpierw chodźmy pod prysznic.

- Razem?

- Jasne, że razem. Teraz już nigdy nie spuszczę cię z oka - oznajmił ze śmiechem.

- Wolałabym zjeść coś w domu - powiedziała, gdy oboje, już ubrani, szli do kuchni.

- Ja też. - Jack opiekuńczym ruchem położył rękę u dołu jej pleców. Wyjście na zewnątrz zniweczyłoby magię, która była między nimi. To nastąpi raczej wcześniej niż później, ale na razie niech czar trwa. - Zobaczymy, co Meg zostawiła nam w lodówce.

- Zostawiła tobie - poprawiła go z figlarnym uśmiechem. - Nie mogła przewidzieć mojej obecności.

Znaleźli chleb, ser i brzoskwinie w puszcze.

- W sam raz na ucztę - oświadczył Jack. - Grzanki z serem, brzoskwinie na deser.

- I morze herbaty na koniec - dodała Darcie.

- Ma się rozumieć. Angielska herbata dla mojej angielskiej różyczki. - Jack nachylił się i delikatnie pocałował Darcie w usta.

Chłonąc wszystkim zmysłami szczęśliwy nastrój, Darcie zauważyła w jakimś momencie:

- Zobacz, telefon nie zadzwonił ani razu. Nie do wiary!

- Szczerze mówiąc, poprosiłem Maggie, żeby nas nie alarmowała. Chyba żeby wydarzyła się katastrofa z mnóstwem ofiar.

- Jack... - zaczerwieniła się - myślisz, że wie o nas?

- Rozmawiała o nas z Samem. A potem mi powiedziała: „Jack, jestem taka

szczęśliwa, że Darcie ma ciebie”.

- Boże, tylko patrzeć, a każe nam się zaręczyć. - Darcie załamała rękę.

- Nie bój się.

A może to nie taki najgorszy pomysł?

Po zaimprovizowanym posiłku Darcie poprosiła Jacka, by odprowadził ją do domu.

- I tak miałem z tobą iść. Będę się tu wprowadzał stopniowo.

Darcie poczuła ucisk w gardle. Mimo wszystko nie była jeszcze gotowa na dzielenie z nim łoża na stałe. Miała nadzieję, że on czuje podobnie. Bo ona go kocha, ale jedno z drugim na razie nie ma nic wspólnego. Położyła mu dłoń na policzku. Popatrzył na nią ze zrozumieniem.

- Chodźmy - odezwał się. - Zrobiło się późno, a ja jeszcze nie powiedziałem psu dobranoc.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tydzień później Darcie i Maggie siedziały w recepcji zajęte niezobowiązującą konwersacją, gdy zadzwonił telefon.

- Wzywaj Jacka - rzekła pielęgniarka po pierwszych słowach rozmowy. - Na planie filmowym w Pelican Springs znów wydarzył się wypadek.

- Kaskader zaplątał się im między liny i gałęzie. Zawisł na drzewie - relacjonowała, gdy pojawił się zdyszany Jack. - Nie mogą go wydostać, są przerażeni.

Jack zaklął soczyście.

- Nie mają na miejscu żadnej pomocy medycznej?

- Najwidoczniej nie. Musicie jechać. Weźcie torby ze sprzętem ratunkowym.

Jadąc, Jack układał sobie w głowie rozmaite groźne scenariusze.

- Jeśli długo wisi głową w dół, mógł stracić przytomność - stwierdziła Darcie, czytając w jego myślach. - Sprawa może okazać się trudna, prawda?

- Mało powiedziane - prychnął. - Możemy na miejscu zastać trupa. Ci dranie postanowili najwyraźniej nadal ignorować przepisy BHP. Ale tym razem naskarzę na nich.

Darcie czuła, że sytuacja ją przygniata. Niesienie pomocy w takich warunkach to dramat.

- Może omówimy sobie, co możemy tam zastać i jak powinniśmy działać? - zaproponowała.

- Rozmawiałem z Malem Duffym - odrzekł Jack szorstko. - Karetka już tam jedzie, podobnie jak policja i służby ochotnicze. Mał skontaktował się z ludźmi w Pelican Springs. Na szczęście akurat pracuje tam ekipa telefonii. Oni dysponują żurawiem wsięgnikowym.

- To coś w rodzaju dźwigu? - Darcie ciągle miała niepokój w oczach.

- Uhm - mruknął Jack w charakterze potwierdzenia. - Montuje się coś takiego na ciężarówce. Na górze jest kabinka, do której wchodzi ludzie.

Darcie zrozumiała, że Jack myśli o sobie.

- Nienawidzę takich sytuacji! - zawołała. - Jesteśmy lekarzami, a nie małpami!

- Mnie też to obraża - uśmiechnął się mimo wszystko. - Nie mogę znieść, że ci idioci tak lekceważą pracowników. Robią, co chcą, a potem i tak ktoś pośpieszy na ratunek, naprawić skutki ich głupoty.

Darcie przygryzła wargę. Nie musiała patrzeć na Jacka, by wiedzieć, jak jest spięty. Na pewno siedzi wyprostowany jak struna, wpatrzony w drogę. Oby tylko zachował zimną krew... Ona też musi. Nie mają wyboru.

Na miejscu wypadku panował kompletny chaos. Lekarze natychmiast włożyli kaski i kamizelki odbłaskowe.

- O, jest już Mal - zauważyła z ulgą Darcie. - Może on nam powie, co się dzieje.

- Na pewno więcej niż ten błazen Meadows, kierownik planu.

Ledwie to powiedział, dojrzeli człowieka, który darł się na swoich niewykwalifikowanych pracowników, żeby „coś zrobili”.

- Za godzinę może dotrą tu jeszcze latający lekarze - oznajmił Mal, który podszedł, nie bawiąc się w powitania. - Namierzyliśmy ich w Harborough.

- Świetnie, Mal, dzięki.

- I właśnie podjechał wysięgnik. Wsiądzie z tobą dwóch ochotników. Kiedy się zorientujesz, co można zrobić od strony medycznej, pomogą ci go wydobyć.

- On się jakoś nazywa? - spytał Jack ze ściśniętym gardłem. Koszmar.

- Wayne Carmody. Około sześćdziesiątki.

- Cholera! Co on sobie myślał, podejmując w tym wieku pracę kaskadera?

Znał odpowiedź na to pytanie. Tylko ludzie doprowadzeni do ostateczności, w wyjątkowo trudnej sytuacji życiowej, ryzykują pracę z tą ekipą.

- Okej, jestem gotów - powiedział po chwili, gdy stalowy szkielec wysięgnika zbliżył się do nich. - Niech to ustrojstwo zadziała.

- Wsiądę z tobą - oświadczyła Darcie.

- Nie ma mowy - odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Przecież stanowimy zespół, Jack - przypomniała mu, przemagając własny strach.

- Nasze kwalifikacje się uzupełniają.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. On miał zaciśnięte wargi, ona była blada jak płótno.

- Dobrze, ale rób, co ci każę - zażądał, zgrzytając zębami.

Umierała ze strachu. Mdlilo ją. Z trudem opanowała odruch złapania Jacka za rękę. Kabina unosiła się, by po chwili osiągnąć cel.

Teraz widzieli, z czym mają do czynienia. Problemy przez duże P. To i tak mało powiedziane. Nieszczęsny Wayne Carmody był beznadziejnie zaplątany. Resztką sił walczył o zachowanie przytomności. Twarz i ręce miał purpurowe.

Operator dźwigu przysunął kabinę tak blisko pacjenta, jak to było możliwe.

- Wayne? - odezwał się Jack do kaskadera. - Słyszysz mnie?

Mężczyzna zbulgotał w odpowiedzi.

- Nie poddawaj się, chłopie - poprosił Jack. - Zaraz ściągniemy cię na dół.

Zalóżmy mu maskę tlenową - zwrócił się do Darcie. - Musi mieć wysokie ciśnienie.

- Położę mu aspirynę pod język - zaproponowała. Aspiryna ma zdolności obniżania ciśnienia krwi. Może też złagodzić ogólny szok, jakiemu uległ chory. - Wiesz, Jack, obawiam się, że on może mieć złamanie kości udowej.

Prawa noga Wayne'a faktycznie zwisała pod dziwnym kątem.

- Oby nie, ale jego krążenie jest na pewno bardzo złe. Więcej będziemy wiedzieć, gdy sprowadzi się go na dół. Chłopaki! Na co czekacie! - krzyknął do ochotników, którzy z mozołem rozplątywali grube liny.

- Robimy, co możemy. Jeszcze pięć minut.

Lekarze spojrzeli po sobie. Mieli świadomość, że czas ucieka. Jeśli nie zdołają przywrócić Wayne'owi właściwej pozycji w ciągu kilku minut, może być źle.

- Okej, już skończyliśmy! - krzyknął Chris. - Bierzcie go.

Z nieudzielnym wysiłkiem udało się Jackowi i Darcie przenieść chorego na platformę dźwigu. Na dole czekało na nich mnóstwo pomocnych rąk.

- Pacjent powinien być leczony na uraz kręgosłupa - oświadczył Jack. I Bóg jeden wie na co jeszcze. - Darcie, jak ciśnienie?

- Spada. Sto sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt.

Jack pochylił się nad Wayne'em, który był kompletnie oszołomiony. Bredził coś, że nie czuje nóg.

- Zbadasz to, Darcie?

Po wykonaniu testu Darcie pokręciła głową.

- Brak czucia - powiedziała. - I w lewej, i w prawej.

- Dajmy mu kroplówkę z płynem Hartmanna.

Czyżby Jack podejrzewał krwotok wewnętrzny?

- Wylądowała ekipa ratowników - ktoś zawołał.

- Boże, koleś wygląda naprawdę źle - stwierdził Zach Bayliss, pochylając się nad chorym. - Jest gotowy do transportu, Jack? Im szybciej, tym lepiej.

- Jeszcze minuta, dam mu trochę morfiny, Zach - odparł Jack, przygotowując dawkę. - Pojadę z nim do szpitala.

- Dokąd go zabierają? - spytał Zach z ulgą.

- Do Brisbane, szpital księżnej Aleksandry.

- Tak, to chyba najlepsze miejsce.

Jack pokiwał głową, dumny ze szpitala, w którym odbywał staż. Naprawdę

świetna placówka, jeśli chodzi o traumatologię. A dla Wayne'a oznacza to szansę na uratowanie życia. Albo na uniknięcie całkowitego bądź częściowego paraliżu.

- Darcie. - Jack dotknął jej ramienia. - Sprawdź, czy nie ma jakichś drobniejszych, ale koniecznych do opatrzenia ran. Ja niedługo wrócę.

Powodzenia, Wayne. Tym niewypowiedzianym życzeniem Darcie pożegnała rannego, patrząc na oddalającą się karetkę. Poczowała mróz w kręgosłupie, jakby to nie biednego kaskadera, ale ją ugodziły w to miejsce gałęzie drzew. Ponura groteska, ponure miejsce.

- Skontaktowałeś się już z urzędem bezpieczeństwa pracy? - zapytała, gdy wracali do miasta.

- Tak. Zadzwoiłem też do lokalnego postą. - Napięcie było już znacznie mniej widoczne na twarzy Jacka. - Jeśli Meadows i jego kołesie natychmiast nie zamkną swojego śmierdzącego interesu, urządzę im piekło.

- Mal i jego posterunkowy przesłuchali członków ekipy filmowej. Mają ich zeznania. Mal zagroził Meadowsowi aresztowaniem. Świetnie się spisał.

- Pani też, doktor Drummond. A ja dziś rano zakończyłem przeprowadzkę - oznajmił, kładąc rękę na jej dłoni.

- Nie wiedziałam... Czeka nas parapetówka?

- Myślałem, że mamy to za sobą, ale może przyjdiesz na kolację?

- Pewnie dam radę - odparła, starając się opanować nagłe przyśpieszenie pulsu. - Przygotować coś do jedzenia?

- Nie, ale przygotuj się, że zostaniesz do rana - zakończył schrypniętym głosem.

- Może krótka odprawa? - zaproponowała Darcie nazajutrz rano.

- Na temat Wayne'a? - spytał Jack, unosząc brwi. - Dzwoniłem na chirurgię. Żyje. Siedzieli naprzeciwko sobie przy wysokim stole śniadaniowym, na którym w kubkach parowała świeżo zaparzona herbata.

- Jakieś złamania?

- Prawdopodobnie dwa albo trzy kręgi lędźwiowe.

- Biedny człowiek. Musi potwornie cierpieć.

- Dostaje bardzo silne środki.

- A co z rdzeniem kręgowym?

- Miał rezonans magnetyczny. Wygląda, że w porządku.

Darcie uważnie przyjrzała się twarzy Jacka.

- Nie wolałbyś tam teraz być? - spytała. - W dużym szpitalu zawsze się tyle

dzieje...

- Nie. Po co miałbym być tam, skoro mogę być tu. Z tobą.

Spojrzała tęsknie gdzieś ponad jego głowę, przez otwarte okno. Patrząc na nią, Jack zrozumiał, że nigdy, przenigdy nie chciałby żyć z dala od niej. Przepęłniały go takie emocje, że to, co przeżył z Zoe, wydawało mu się teraz tylko bladą imitacją uczucia.

Jack Cassidy się zakochał.

- Weźmy ślub.

Na te słowa Darcie przez chwilę otwierała i zamykała usta. Mrugała bezradnie powiekami.

- Co takiego? - wychrypiła w końcu.

- Ja cię kocham.

- Wiem... - westchnęła lekko.

- A ty kochasz mnie. Inaczej byś ze mną nie była.

- Ale ślub? Nas tyle różni. Ja pochodzę z innego kraju...

- Tak bywa. Tylko proszę cię, nie mów mi, że się prawie nie znamy.

- No nie! To byłoby głupie - przyznała, śmiejąc się niepewnie. - Ale jednak małżeństwo to duże zobowiązanie. Nie boisz się?

- Ani trochę. Dobrze nam razem, a mnie się w tobie podoba absolutnie wszystko.

- Och, Jack... - Potrząsnęła głową. - Ale na mnie tyle ciąży...

- Nic nie ciąży. Cały bagaż zrzuciłaś z pleców tam, za strumieniem, gdzie pierwszy raz się pocałowaliśmy.

Ale ja ciągle czuję ten ciężar, pomyślała w duchu.

- Potrzebuję trochę czasu, muszę to przetrawić.

- Innymi słowy będziesz dzielić włos na czworo, aż się zapętlisz.

- Bardzo mi przykro, ale dla mnie świat nie jest czarno-biały, tak jak dla ciebie - odparła odrobinę zbyt twardo.

- Nie przesadzaj, Darcie. Ja cię tylko proszę, żebyś mnie poślubiła, a nie żebyś skoczyła z mostu do rzeki.

Może to drugie byłoby łatwiejsze...

- Ale po co właściwie rozmawiamy o ślubie? - spytała z przestraczem w głosie. - Nie jest nam dobrze tak jak jest?

- Jesteśmy kochankami z doskoku - prychnął ironicznie. - Dobrze ci z tym?

- Jestem wdzięczna losowi za to, co mam.

- Ale możesz mieć więcej! - Zsunął się ze stołka i podszedł do okna. - Do czego ja właściwie jestem ci potrzebny, Darcie? Proszę, powiedz.

Wzrok jej spochmurniał.

- Potrzebuję, żebyś dał mi trochę swobody. I nie naciskał. Przykro mi to mówić, Jack, ale nie powinieneś wywierać na mnie presji w sprawie, która zadecyduje o całej mojej przyszłości.

- Dlaczego mi nie zaufasz? Mogłabyś mieć ze mną naprawdę wspaniałe życie.

Albo serce złamane po wieczne czasy, dopowiedziała sobie. Wstała.

- Jesteś w stanie zagwarantować, że tak będzie?

- Aha, więc tego chcesz...

Czy ona tego chce? Przez chwilę wydawało się jej, że powinna oddalić skrupuły i przyjąć oświadczyzny. Urządzić sobie życie u boku Jacka, z dala od tego wszystkiego, co przywiodło ją na to pustkowie. W głębi duszy wiedziała jednak, że nie stać ją na skok na głęboką wodę. Nie teraz. A może nigdy? Przełknęła z trudem ślinę i oświadczyła:

- Tak, tego chcę.

Trzy dni później Maggie spytała Darcie, czy wszystko z nią okej.

- Owszem, a dlaczego pytasz?

- Bo jesteś jakaś taka... rozkojarzona.

- Wydaje ci się, Maggie.

- Nie sędzę - naciskała pielęgniarka.

Darcie roześmiała się z przymusem. Na poczekaniu wymyśliła usprawiedliwienie.

- Każdy byłby rozkojarzony, gdyby przeżył to co ja kilka dni temu. Wiesz, tam, gdzie kręcili ten film. To był niezły bajzel, nienawidzę tak pracować.

- Meadows i jego banda spakowali manatki i wynieśli się. Czeka ich proces. Pewnie będziecie z Jackiem powołani na świadków.

Owszem, o ile ona w ogóle zostanie w Sunday Creek. Coś ścisnęło ją w krtani.

- Jedziesz chyba dzisiaj z nim do przychodni w terenie - powiedziała do Maggie, żeby zmienić temat.

- Nie, odwołałam to. Ethan źle się czuje.

- Biedny mały. Może chcesz, żebym go obejrzała? - zaofiarowała się Darcie.

- Dzięki, ale chyba nie trzeba. Trochę boli go brzuszek. Wpadnę do domu w przerwie lunchowej, zaniosę mu nowe bajki na DVD i wszystko będzie okej. Lauren pojedzie do przychodni zamiast mnie. A słyszałaś? Jack wystarał się o okulistę dla przychodni. To świetnie, bo tutaj ludzie często mają problemy z oczami.

- Nic mi nie mówił - zdziwiła się Darcie.

Popatrzyły na siebie.

- Ma za dużo na głowie, pewnie zapomniał - rzekła Maggie po chwili dość napiętego milczenia.

Albo potraktował zbyt dosłownie jej prośbę o swobodę, o nienaciskanie, niezawracanie głowy...

Boże, ale się porobiło! Tak dalej nie może być...

Tego samego dnia wczesnym wieczorem Jack siedział na werandzie willi. Od czasu impasu w relacjach z Darcie miał wrażenie, że wszystko leci mu z rąk. Chciało mu się wyc.

Po co, do jasnej cholery, wyrwał się z tą propozycją małżeństwa? Wtedy wydawało mu się, że to dobry pomysł, aż ujrzał panikę na jej twarzy. Zrozumiał, że to on jest przyczyną. A potem każdym słowem pogarszał sytuację. Szkoda, że rodzice nie dali mu Prostack na drugie imię.

Musi z nią porozmawiać. Tak pożądana przez nią swoboda to szaleństwo.

- Co ty na to, koleś? - spytał, głaszcząc szorstką sierść psa, który uniósł łeb i lekko zamachał ogonem. - Rozumiem, że mówisz „tak”.

Jack wstał i wszedł do domu. Pozamykał wszystko i skierował się do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymał się, zauważywszy samochód podjeżdżający pod budynek. Kogo diabli niosą? Ktoś z rady nadzorczej? Dlaczego nie przyszedł, jak człowiek, w godzinach pracy do szpitala?

Westchnął zrezygnowany i czekał. Nie ma sensu udawać, że go nie ma w domu. Jego sylwetka musiała być widoczna w świetle latarni przy wejściu. Drzwi samochodu otworzyły się i znajoma postać wysunęła się zza kierownicy. Darcie?

- Cześć.

Otworzyła furtkę i zbliżała się do domu.

- Nie poznałem twojego samochodu. - Skrzywił się.

- Mój się zepsuł. Chłopcy z warsztatu dali mi ten na jakiś czas.

- A co nawaliło?

- Nie wiem, nie jestem mechanikiem. - Wzruszyła ramionami.

Boże, dlaczego gadają o głupim samochodzie? Napięcie między nimi osiągnęło górny pułap.

- Możemy porozmawiać? - zaproponowała Darcie.

- Jasne - odparł z ulgą. - Szczerze mówiąc, właśnie wychodziłem, żeby cię poszukać.

Patrzyli na siebie. Żadne nie chciało pierwsze wyciągnąć ręki.

- Mogę usiąść? - zapytała.

- A może wejdziemy do środka? - zaproponował.

Albo wezmę cię w ramiona i mocno uścisknę, dodał w myślach.

- Nie, tu jest okej. - Usiadła na podsunętym przez niego krześle.

- No więc... - Urwał i zacisnął usta na chwilę. - Co chciałaś mi powiedzieć?

- Mam zaległy urlop. Chciałabym go teraz wziąć.

Nie to spodziewał się usłyszeć...

- Chcesz wyjechać? Masz jakieś plany? - spytał, przesuwając dłonią po policzku.

- Tak. - Nie chciała dodawać, że ostatnie kilka godzin spędziła w internecie.

- Rozumiem. No więc dokąd się udajesz?

- Jutro mam lot.

- Do Brisbane?

Potwierdziła skinieniem głowy.

Jack wiedział, że powinien w tym miejscu przerwać rozmowę, ale nie potrafił.

- Dobry kierunek. Blisko wybrzeża...

Spojrzała mu w oczy zdziwiona.

- Nie jadę nad morze - wyjaśniła, walcząc z uciskiem w gardle. - Lecę do domu.

- Do domu? Do Anglii? - Poczuł, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi.

Wzruszyła ramionami obojętnie. Może powinna była użyć innego słowa. Ale trudno, stało się.

- Przecież mówiłaś, że teraz Australia jest twoim domem! - rzucił gniewnie.

- Darujmy sobie analizy słowne, Jack. Ja to muszę zrobić.

Nagle poczuła się samotna. Zrozumiała, jak bardzo się od siebie oddalili.

- Dlaczego, Darcie?

- Wiesz dlaczego. - Patrzyła na niego mimo wewnętrznego dygotu. - Nienawidzę tego słowa, ale... Muszę coś załatwić. Domknąć. Pozamiatać.

- Jedziesz zobaczyć się z nim? Po co?! - Oczy Jacka błyszczały jak wypolerowane szafiry.

- Bo zostawiłam go bez słowa. Powinam była przedstawić mu swoje stanowisko.

Wykazać, jak okropne było jego zachowanie. A ja się zamknęłam jak tekturowe pudełko. I dałam dyla.

- Może i powinnaś wtedy to zrobić. Ale teraz? Darcie, bój się Boga! Ten kretyn nie jest wart ceny przelotu stąd do Anglii. Wiesz chociaż, gdzie go znaleźć?

- Tak. Pracuje ciągle w tym samym szpitalu.

Nagle wszystko zaczęło trzeszczeć w szwach. Sytuacja zrobiła się kompletnie nieprzewidywalna.

Darcie patrzyła na poruszające się pod czarnym T-shirtem mięśnie Jacka i ogarnęło ją nagłe pożądanie.

- Jest jeszcze inna możliwość - odezwał się. - Gdybyś zechciała odłożyć swój wyjazd o kilka dni, mógłbym polecieć z tobą.

Na widok takiej ofiarności ogarnęło ją poczucie winy, ale nie chciała, by jej towarzyszył. Ma coś do zrobienia i musi to zrobić sama. Powinien to zrozumieć.

- Jack, ja już zabukowałam lot. Poza tym rada nadzorcza mogłaby nie zaakceptować twojego wyjazdu.

- Niech lepiej pilnują swojego interesu.

- Ależ to właśnie jest ich interes, Jack - uśmiechnęła się. - Są odpowiedzialni za funkcjonowanie szpitala. A ty nie musisz być odpowiedzialny za mnie. Wiem, co do mnie należy.

- Nie sądzisz, że on będzie cię błagał o jeszcze jedną szansę? - spytał Jack, nie patrząc na nią. Zdawał sobie sprawę, że tym pytaniem wkracza na pole minowe.

Że oto decyduje się ich wspólna przyszłość.

- Nie będzie, Jack. - Zaplotła dłonie. - Nawet gdyby chciał, nic z tego. Bo miłość do ciebie dała mi siłę. - Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. - Nie pozwolę się skołować.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

I to go miałoby uspokoić? Nie czuł się spokojny ani trochę. Zawzięcie szorował sobie ręce przed zabiegiem.

- Którego bierzemy na pierwszy ogień? - spytała Natalie, otwierając kasetę z przyborami do szycia.

Miała na myśli dwóch dwunastolatków, którzy pokiereszowali się, wpadając na siebie w czasie jazdy na desce. Żaden nie miał kasku ochronnego. Krwawili obficie z rozciętych łuków brwiowych, obaj byli bladzi jak ściana.

- Wszystko jedno - burknął Jack. - Głupie dzieciaki. I dlaczego nie byli w szkole?

- Bo dziś jest sobota, Jack. - Natalie spojrzała na niego z cierpiętniczą miną.

- Ach tak? Straciłem orientację.

Ale jakoś nie stracił orientacji, jak długo Darcie będzie w podróży. Wyjechała dziesięć dni temu, a każdy kolejny dzień bez niej wydawał mu się dłuższy od poprzedniego.

- Może najpierw zszyję tego z guzem na czole - zdecydował.

- Matthew? Nie sądzisz, że on może mieć wstrząs mózgu? - zasugerowała nieśmiało.

- Nie zauważyłem utraty przytomności - wzruszył ramionami - ale może faktycznie dobrze będzie poobserwować go od strony neurologicznej.

- Pomóc ci? - usłyszał nagle.

Odwrócił się znad umywalki, jak draśnięty zbłąkaną kulą.

- Wróciłaś?

Zaczerwieniła się. Nie wyglądała na uszczęśliwionego jej przyjazdem. Nie takie przyjęcie sobie wymarzyła.

- Wróciłam - powtórzyła tylko.

- Udana podróż?

- Bardzo.

Patrzył na nią zmrużonymi oczami. Wyglądała olśniewająco. Promieniała. Miała nowe uczesanie. Poczul ukłucie zazdrości. Z pewnością wspaniale się bawiła w starej dobrej Anglii.

- Cześć, Darcie! - zawołała Natalie. - Miło znów cię widzieć.

- Ciebie też, Nat. A ja mam prezenty - powiedziała Darcie śpiewnym tonem. - Dla wszyyyystkich.

- O mój Boże! - Natalie złapała się za serce. - Z samego Londynu?

- Ma się rozumieć!

- Jakie to miłe...

- Możemy zaczynać? - Jack zaczął naciągać lateksowe rękawiczki. Dość tej paplaniny.

- Co jest na tapecie? - Tym razem Darcie skierowała przezornie pytanie do Natalie.

- Dwóch nastolatków z pękniętymi łukami brwiowymi. Szycie.

- Może ja zszyję jednego? - Darcie spojrzała pytająco na Jacka.

- Jeśli masz czas i ochotę... - odburknął, popychając łokciem skrzydło wahadłowych drzwi.

- Biedak, chyba nie spał za dobrze - rzekła Natalie.

Czyżby z jej winy? Darcie podeszła do umywalki na miękkich nogach.

- Nat, jeśli masz asystować Jackowi, możesz iść. Ja dam sobie radę z kilkoma szwami.

- Okej. Wspaniale, że wróciłaś, Darcie - powiedziała Natalie niepewnie.

Darcie zaczerpnęła powietrza, by się uspokoić. Wracała tu jak na skrzydłach. Jednak teraz zmiana czasu dała o sobie znać i jej nastrój siadł gwałtownie. Chciała sprawić Jackowi niespodziankę, ale to nie wypaliło. Dlaczego życie musi być takie skomplikowane? Wytarła ręce, poszukała sterylnych rękawiczek i poszła do pacjenta.

Starannie założyła chłopakowi cztery szwy. Nie trwało to długo. Wypełniła kartę i przekazała nieszczęśnika matce, informując, że za tydzień trzeba zdjąć te szwy.

Boże drogi. Taki drobiazg, a ona ma zeszywniałe palce. Musi być bardziej zmęczona, niż jej się wydaje. Postanowiła mimo to poczekać na Jacka.

Spojrzała na zegarek. Było późne popołudnie. Filizanka mocnej herbaty postawiłaby ją na nogi. Poszła do szpitalnej kuchni. To tam po jakimś czasie znalazł ją Jack.

- Wyglądasz jak wszyscy diabli - powiedział bez ogródek.

- Miło słyszeć. - Uniosła dumnie głowę.

Jack wykrzywił usta w niechętnym uśmiechu. Wyciągnął do niej ręce.

- Odholuję cię do domu - powiedział.

Powietrze na dworze było czyste i rześkie. Darcie zakreśliło się w głowie.

- Ledwie się trzymasz na nogach - zauważył Jack. - O której wyleciałaś?

- Bardzo wcześnie - mówiła, czując, że jej powieki są jak z ołowiu. - Musiałam nieźle pogłówkować, żeby jak najszybciej wrócić do Sunday Creek.

- Twój zegar biologiczny zupełnie się rozregulował. Musisz iść spać. - Zatrzymał

się przy land-roverze i otworzył jej drzwi od strony pasażera.

- Tęskniłeś? - zapytała z ustami wtulonymi w jego ramię, gdy usiadł obok.

- Przecież wiesz. - Jego spojrzenie złagodniało nieco. - Nie powinienem był puszczać cię samej. A ty? Tęskniłaś?

Nie doczekał się odpowiedzi. Darcie spała jak zabita.

Gdy się obudziła, było cicho. Przez półotwarte okno wdzieriała się orzeźwiająca bryza. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Tapeta na ścianie była jej nieznana. Po chwili zrozumiała, że leży w jednej z gościnnych sypialni willi Jacka.

Jęknęła, wtulając usta w poduszkę. A więc musiał położyć ją spać po wyjściu ze szpitala. Co jeszcze zrobił? Włożyła rękę pod kołdrę i znalazła te same majteczki, w których odbyła podróż. Aha, więc nie usiłował jej rozebrać. Jack, prawdziwy z ciebie rycerz! Uśmiechnęła się pod nosem.

Usłyszała głośnie trzaśnięcie drzwi. Usiadła na łóżku, podciągając kolana pod brodę.

- Jack! Czy to ty! - zawołała schrypniętym głosem.

- O, widzę, że Śpiąca Królowa już się obudziła. - Ciemna głowa Jacka pojawiła się w drzwiach. - Dobrze spałaś?

Zaczerwieniła się. Gdy zbliżał się do łóżka, jego potężna, umięśniona sylwetka sprowadzała przestrzeń niemałego przecież pokoju do rozmiarów domku dla lalek.

- Przepraszam, że tak padłam. Która godzina?

- Piąta.

- Piąta kiedy?

- W niedzielę. Po południu.

- Chcesz mi wmówić, że przespałam okrągłą dobę?

- To normalne po takiej podróży. - Patrzył na nią spokojnie. - Jakiś obiad? Kolacja? Jesteś głodna?

- Jak wilk - przyznała, uśmiechając się niepewnie. - Ale teraz najbardziej potrzebuję toalety.

- W takim razie widzimy się za chwilę. Aha, zahaczyłem o hotel, przyniosłem twój bagaż.

- Dzięki.

Postawił jej walizkę w nogach łóżka.

- Pośpiesz się, ugotowałem minestrone.

A więc znów są razem? Serio? Przecież tak naprawdę się nie rozstali. Jack był tylko trochę niezadowolony z jej wyjazdu, ale nie przyprowadziłby jej do swojego

domu, gdyby ciągle się na nią gniewał.

Umyła się, ubrała błyskawicznie i poszła do kuchni.

Jack nakrywał do stołu. Przez chwilę napawała się jego męskim wyglądem.

- Coś tu wspaniale pachnie.

- Lepiej się już czujesz? - spytał, odwracając się do niej. Z uznaniem spojrzał na jej legginsy i perłowy top.

- Dużo lepiej. Może pomogę?

- Postaw dwie bulionówki na stole - poprosił, doprawiając zupę. - A w torbie są pełnoziarniste bułeczki. - Dokładkę? - zapytał, gdy pochłonęła pierwszą porcję minestrone.

- Boże uchronij! - roześmiała się. - Ale to było pyszne, Jack.

- Kawa?

- Może później.

- Przepraszam, wczoraj zachowałem się jak palant - oznajmił.

Spuściła oczy.

- Mam ci opowiedzieć o mojej podróży?

Serce waliło mu jak oszalałe. Boże, jak za nią tęsknił!

- Fakt, dobrze byłoby mieć to z głowy. - Wstał i zaczął zbierać ze stołu naczynia.

Poczuła się zlekceważona.

- Jack, jeśli mamy być razem, musisz mnie wysłuchać.

- Masz rację - odparł, czując w gardle gulę wielkości cytryny. - Ale może w jakichś bardziej wygodnych warunkach?

Przeszli do salonu.

- Okej. Możesz zaczynać.

- Widziałam się z Aaronem.

- Dużo czasu z nim spędziłaś?

- Niewiele. Nie muszę wspominać, że mój widok go zaskoczył. Nie owijałam w bawełnę, wywaliłam wszystko, co czułam. Że mnie nękał, że przez niego straciłam pewność siebie... Wszystko.

- I co on na to?

- Kajał się, przeproszał. Zasugerowałam, że potrzebna mu jest pomoc psychiatryczna. To na pewno bardzo nieszczęśliwy człowiek.

- Jak zareagował?

- Powiedział, że już chodzi na terapię. Ja na to, że mam nadzieję, że to mu pomoże. A potem wstałam i wyszłam. I tyle.

- Denerwowałaś się? - spytał troskliwie.

- Może trochę, ale przede wszystkim poczułam się wolna. To fantastyczne uczucie.

- Moja dzielna wojowniczką. Jestem z ciebie dumny. - Jack przyciągnął ją do siebie.

- To jeszcze nie koniec. Posłuchaj. Potem pojechałam do rodziców. Dziwne, ale akurat byli w domu. Porozmawiałam z nimi. - Uśmiechnęła się promiennie. - To dzięki tobie i dzięki Sunday Creek. Lecąc do Anglii, pomyślałam sobie, że moi rodzice nie sprawdzili się w tej roli. Ty miałaś kochającą rodzinę i na pewno wspaniałe dzieciństwo. Maggie świetnie sobie radzi, choć jest samotną matką. Nat i jej mąż ciężko pracują, lecz mimo to starannie wychowują swoją córeczką. A moi rodzice... To wykształceni, inteligentni ludzie. Powinni wiedzieć, na czym polega rodzicielstwo!

Jack wprost nie mógł uwierzyć. Ona jest cudowna.

- No i jak to się skończyło? - spytał.

- Po raz pierwszy usiedliśmy razem jak rodzina. I porozmawialiśmy, tak od serca. - Usta Darcie drżały lekko. - Oczywiście przepraszałam za swój brak zaangażowania, ale zapewniali bez końca, że bardzo mnie kochali. Mama nawet się rozplakała. A tata nazwał mnie swoją kochaną dziewczynką.

- Zdziwiasz mnie, Darcie - powiedział Jack ze ściśniętym gardłem. - Porozmawiałaś z nimi. I co?

- Chcą przyjechać na nasz ślub! - zawołała. - O ile oczywiście nadal chcesz się ze mną ożenić.

- Jasne, że chcę - wydusił schrypniętym ze wzruszenia głosem. - I to z przytupem! W jednej sekundzie przypadli do siebie. Całowali się bez końca, żarliwie, zaborczo. Nieśpiesznie, by na nowo poznać się, posmakować.

- A więc pobieramy się - stwierdził Jack, gdy się sobą nasycili.

- Tak - potwierdziła. - I pamiętaj: ma być wszystko jak należy. Prawdziwe wiejskie wesele. Kościółek udekorowany masą kwiatów, wypełniony krewnymi i przyjaciółmi. Wstęgi, kokardy...

- A co potem? - przerwał jej rozbawiony.

- Wynajmiemy namiot cyrkowy, postawimy go w jakimś cudownym miejscu. Parkiet do tańca, lampiony, wspaniałe żarcie...

- Ale nie będę musiał gotować?

- Jasne, że nie. - Darcie parsknęła śmiechem. - Zamówimy catering w samym Brisbane. I nie patrz tak. Moi rodzice powiedzieli, że za wszystko zapłacą. A sukienkę już kupiłam. W Londynie. Mam nadzieję, że ci się w niej spodoba.

- Na pewno. - Oczy mu się zaświeciły. - Bez niczego też jesteś ładna.

Roześmiała się. Poczowała ciepło rozlewające się po całym ciele. Dobrze wiedziała, co zwiastuje.

- Musimy teraz tylko ustalić datę - powiedziała.

- Data może poczekać. Teraz musimy zrobić coś całkiem innego. Chyba się ze mną zgodzisz?

Dzień był jak zamówiony na ślub.

- Darcie, możesz się przez chwilę przestać wiercić? - mówiła Maggie, dokonując ostatniego oglądu ubranej panny młodej. - Za kwadrans trzeba ruszyć do kościoła.

- Jestem tak szczęśliwa, że chyba zaraz pęknę, Maggie.

- Powstrzymaj się, proszę. Muszę jeszcze zapiąć ten mały guziczek.

- Co myślisz o tej sukience? Jest okej? - zapytała Darcie, obracając się przed wielkim lustrem.

- Okej?! - wykrzyknęła Maggie. - Kochanie, ty wyglądasz w niej olśniewająco! - Pielęgniarka patrzyła zamglonym wzrokiem na stylową kombinację jedwabiu i ręcznej roboty koronek. - Jackowi oczy wyjdą z orbit.

- O ile w ogóle będzie coś widział - odparła Darcie kwaśno. - Bracia zaciągnęli go wczoraj do pubu na wieczór kawalerski.

- Cóż, tacy są chłopcy. Ale Sam mówił, że Jack nie pił nic mocnego.

Darcie nie wyglądała na przekonaną.

- Dobrze chociaż, że zaplanowaliśmy ślub późnym popołudniem. Zdążył się wyspać, jakby co. A tobie, Maggie, dziękuję, że jesteś przy mnie. Że jesteś moją przyjaciółką.

- Wielkie mi co! To działa w obie strony. Teraz już nic nie mów, bo rozmaże ci się makijaż. Szkoda, że nie macie miesiąca miodowego.

- Takie są uroki życia lekarzy na odludziu. Ale wyrwiemy się na weekend nad morze. Do wypasionego hotelu.

- Rozumiem. Śniadanie do łóżka, te rzeczy... Zasłużyłaś na to. - Maggie spojrzała czule. - A jak twoim rodzicom podoba się w Sunday Creek?

- Są zachwyceni. To wspaniałe ze strony Louise, że zaprosiła ich do Willow Bend.

- Transport czeka! - Lauren wsadziła głowę w uchylone drzwi. - O Boże! Darcie, wyglądasz niesamowicie!

Panna młoda podziękowała, ale zaczęła się denerwować. Co będzie, jeśli brat Jacka zapomni obrączek? Albo jeśli pomylą słowa przysięgi?

- Może napijemy się po kieliszeczkę? - zaproponowała.

Maggie stwierdziła jednak stanowczo, że na własny ślub nie powinno się spóźnić. Upewniła się jeszcze, że Lauren ma w podręcznej torbie wszystko, co potrzeba na wypadek nagłej zmiany pogody.

- A to co ta-takiego? - spytała Darcie, wskazując palcem bryczkę zaprzęgniętą w dwa piękne siwe konie.

- Twoja kareta. Czy nie jest cudowna?

- A-ale Louise obiecała pożyczyć mercedesa.

- I pożyczyła. Dla twoich drухen. A ty, kochana, pojedziesz wozem. Przecież chciałaś mieć prawdziwe wiejskie wesele! Ludzie wzdłuż drogi będą chcieli ci pomachać - wyjaśniała Maggie. - Sam specjalnie wybrał łagodne konie. My tu na wsi kochamy tradycję. Oto twój tata. Poprowadzi cię do ołtarza.

- Dzień dobry paniom. - Profesor Drummond skłonił się szarmancko. - Darcie, wyglądasz pięknie. Jak ty wyrosłaś!

- Tato... - jęknęła Darcie. Zrozumiała, że pewnych rzeczy się nie przeskoczy.

- Gotowe, moje damy? - Ojciec podał Darcie ramię i ostrożnie sprowadził ją po schodkach werandy.

- Dasz radę, tato? - spytała, wskazując bryczkę.

- Tak, ten wóz jest nawet dość wygodny. A woźnica to interesujący osobnik. Ucieliśmy sobie pogawędkę, jadąc tu z Willow Bend.

Jej wytworny, sztywny ojciec zaakceptował zwykły konny wóz?

- Wskakuj, Darcie. Daj, potrzynam ci bukiet - powiedziała Maggie. - Nie bój się, siedzenie jest czyściutkie. Miłej drogi. Do zobaczenia w kościele.

Darcie stała obok ojca u wrót kościoła.

- Pięknie wyglądasz, ten Jack to szczęściarz. No i fajny facet - dodał profesor.

- Ale czy on tu jest, tato? Nie widzę go.

- Jasne, że jest - powiedziała Maggie, która właśnie podbiegła i odsunęła zbłąkany kosmyk włosów z policzka panny młodej. - Gotowa?

Darcie pokiwała głową i wzięła głęboki oddech.

- No to do roboty.

Stojący przed ołtarzem Jack odetchnął z ulgą. A więc nareszcie. Jego angielska narzeczona, ukochana Darcie. Gdy prawie się z nim zrównała, odwrócił się do niej i zachwycony uniósł brwi.

- Okej? - mruknął, biorąc ją za rękę.

Kiwnęła głową i kurczowo ścisnęła jego dłoń.

- Witajcie, kochani - zaczął z promiennym uśmiechem ojciec Tom Corelli. - Zanim przejdziemy do rzeczy, może jest coś, co chcielibyście sobie powiedzieć?

- Dzięki, ojcze. - Darcie odwróciła się twarzą do Jacka, walcząc z łzami. - Jack, jesteś moją ostoją. Potrafisz mnie wysłuchać i wspierasz mnie niezależnie od okoliczności. Moja miłość jest tak przepastna jak niebo nad tym pustkowiem. Będę cię kochać do końca świata.

Jack poczuł wzruszenie. Chciał się odwdzińczyć czymś równie poetyckim, wspiał się więc na szczyty swoich możliwości:

- Darcie, jesteś tak silna i dzielna jak drzewa w naszych lasach, tak delikatna i piękna jak kwiaty naszych łąk. Będę cię kochał do końca świata.

Oficjalną przysięgę powtarzali oszołomieni szczęściem. Wymienili obrączki, a gdy ojciec Tom ogłosił ich mężem i żoną, pocałowali się. Potem powtórzyli pocałunek, powodując wybuch aplauzu i kilka gwizdów w wykonaniu części klanu Cassidych.

Gdy młodzi podpisywali akt zawarcia związku małżeńskiego, rozległy się dźwięki tradycyjnej pieśni weselnej we wspaniałym wykonaniu Lauren.

- Nie wiedziałam... - Darcie z wahaniem spojrzała na Jacka.

- To niespodzianka. A ja mam jeszcze jedną, pani Cassidy. Pojedziemy w normalną podróż poślubną.

- Jak to?

- Jeden z latających lekarzy poświęci część urlopu, żeby nas zastąpić. Mamy wolny cały tydzień. Tylko dla siebie!

- Brad Kitto? - zapytała niepewnie.

- Tak, to jego prezent ślubny dla nas.

- Ale przecież... uważałeś go za rywala? I przyjąłeś jego propozycję?

- Dlaczego nie? W końcu moja ukochana wybrała mnie, a nie jego.

Tytuł oryginału: Wedding at Sunday Creek
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2014
Redaktor serii: Ewa Godycka
Korekta: Mira Weber

© 2014 by Leah Martyn
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2015

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Medical są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-1586-2

MEDICAL - 589

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com